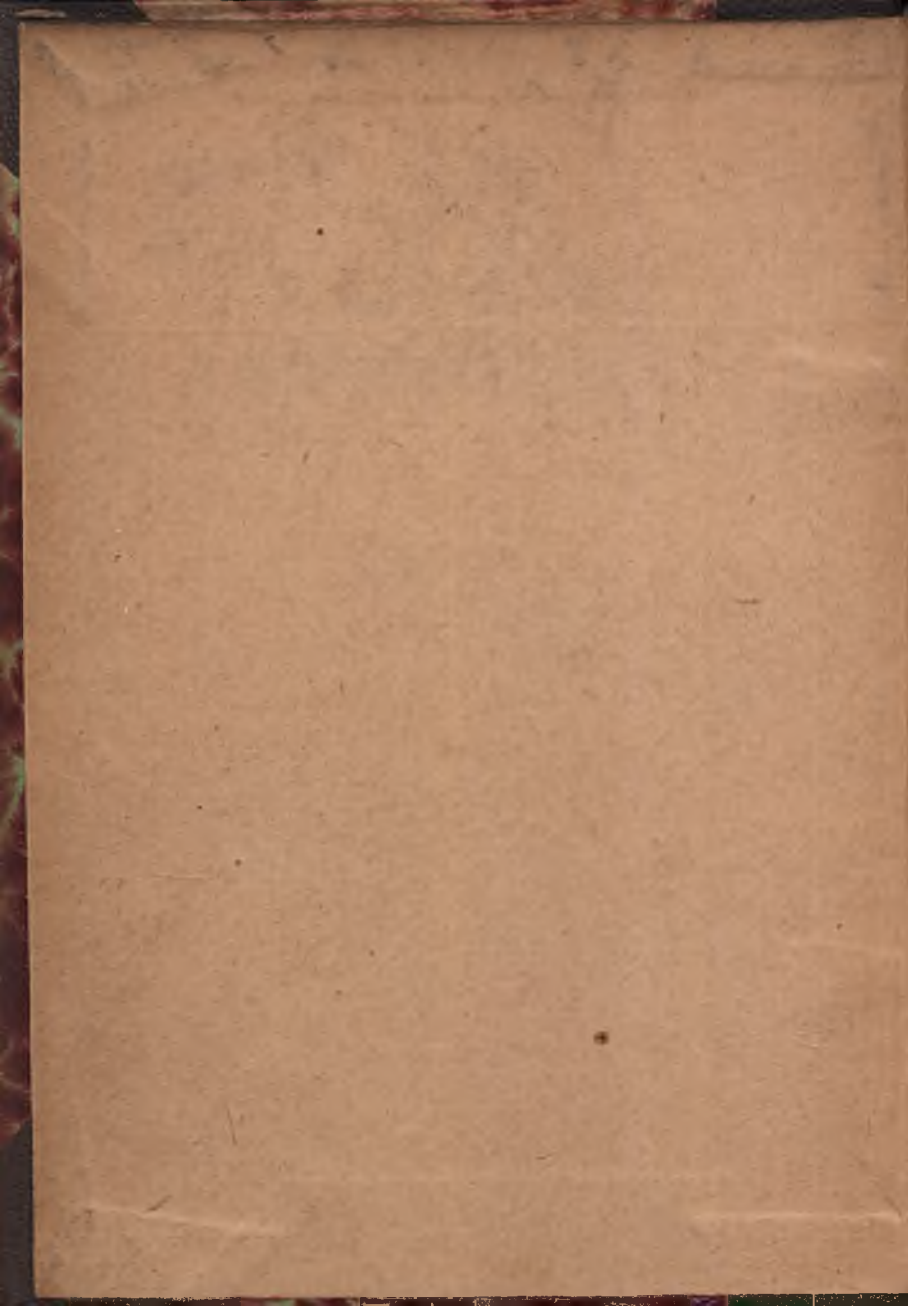


Śląska Biblioteka Publiczna

7884

I

S.





v 30





BRUNO WINAWER

LĘDSZE CZASY

Karol Maciejewski 1945



BRUNO WINAWER

LEPSZE CZASY

(WYCIĄG FORTEPIANOWY)



WARSZAWA, E. WENDE i S-KA

Poznań — Fiszer i Majewski; Łódź i Katowice —
Ludwik Fiszer; Toruń i Siedlce — Tow. Wyd. „Ignis”

Biblioteka

nr 30

4884

I

X-35549
7884 I

Odbito w Zakł. Graficznych
„Drukarnia Bankowa”
Warszawa, Mo-
nuszki 11
1925



51-

Od autora

„Lepsze czasy” to wyciąg fortepianowy z „Cichego alarmu”, ekstrakt „Tematów i warjacji”... Tomik ten zawiera wogóle wybrane, *nieśmiertelne*, nieprzedawnione drobne utwory moje i każdy czytelnik „Biblioteki groszowej” ma gwarancję, że nawet w *dwa tygodnie* po nabyciu książki nic się w niej zestarzeć, nic zwiędnąć nie może. Za dłuższy okres czasu oczywiście ręczyć nie będziemy. Każda sztuka, więc i sztuka literacka, czerpie soki ze zdarzeń aktualnych. Czyż to nasza wina, że kalejdoskopem tych zdarzeń ustawicznie ktoś potrząsa i że to, co było interesujące wczoraj, już dzisiaj jest nudne? Czasy spokojne mają literaturę trwalszą, w okresach burzliwych ludzie, poglądy, fakty mijają tak szybko, że to, co o nich mówimy podlega dewaluacji gwałtownej. Trudno — wszelka lokata kapitału dzisiaj zawodzi i dlatego nikomu dać rękojmi nie możemy, że nabywając na własność „Lepsze czasy” zrobi na tem dobry interes.

Ostatecznie słowo jest tylko słowem i wszelkie rozmyślania filozoficzne w naszych warunkach nie na wiele się zdadzą. Nabywca tej książki powinien się cofnąć, póki czas, — zażądać zwrotu pieniędzy i za 95 groszy objechać Warszawę sześć razy zerem dookoła.

B. W.

LEPSZE CZASY, NIŻLI TERAZ SĄ...

W każdym większym zbiegowisku jest poważny procent tych ludzi. Stosunkowo najwięcej bywa ich jednak w kawiarni pod zegarem, na herbatkach tańczących pod piecem i na premierach teatralnych w pierwszych rzędach krzeseł. Patrzą na teraźniejszość okiem zamglonem, kiwają głowami pobłaźliwie, wzdychają raz po raz i szepcą, ruszając blademi wargami: dawniej... dawniej!... dawniej!...

Dawniej, proszę państwa, kobiety były urodziwsze, tańce były piękniejsze, panowie byli weselsi, dekolty były bardziej marmurowe, sztuki teatralne bardziej wzruszające, słońce grzało mocniej, poeci rymowali lepiej, ptaszęta ćwierkały radośniej.

Trudno dociec, kto właściwie taką opinię czasom przeszłym wyrabia: historycy, którzy z tego żyją? starsi panowie, nieco zbłazowani w stanie kawalerskim i pozbawieni wrażliwości? Niewiadomo. Pewne jest tylko to jedno: poważny odsetek naszych współczesnych wierzy niezachwianie, że niegdyś — dawniej — każdy mąż stanu był Juljuszem Cezarem, każdy autor dramatyczny Szekspirem, każdy żołnierz bohaterem i każdy wróbel kanarkiem.

Na scenach naszych teatrów operowych widzimy w seledynowym świetle reflektora markizów w jedwabnych fraczkach, margrabiny w białych perukach — i dębiejemy z zachwytu: Boże, jakie to było cudne... Trzeba dopiero z pożółkłych szpargałów historycznych wydobywać z trudem na światło dzienne ten prosty fakt, że pod pudrowaną peruką pana markiza, robactwo wyprawiało dzikie harce i że owe piękne czasy musiały wymyślić specjalny przyrząd posrebrzany do zabijania niektórych natrętnych i uszczypliwych owadów. W szkołach, powieściach, w sztukach historycznych obełgiwano nas strasznie i dziś dopiero — dzięki badaniom własnym — przejrzelśmy, zaczynamy patrzeć trzeźwo. Widzimy, jak wykwintny margrabia brnie przez gnojne góry Paryża — Paryża Ludwików! — jak omija cuchnące kałuże i strzepuje z żabotów pomyje, którymi go oblano na ulicy pryncypalnej słynnego miasta. Nie łudźmy się — w owych pięknych czasach stolica świata przypominała wyglądem i zapachem dzisiejszy Drohobycz. Wyznajmy też raz wreszcie prawdę: Szekspir nie jest poetą wieku siedemnastego. Znało go wówczas kilku panów, kilku dworaków elżbietańskich — nie istniał. Istnieje dziś dopiero, za naszych podłych czasów, kiedy jego dzieła nabyć można za kilka dydków w każdym sklepiku księgarskim, kiedy go grają od bieguna do bieguna, w każdym teatryku na Hipotecznej. Kiedy jego słowa brzmią w wszystkich językach ziemi, kiedy je odbijają maszyny rotacyjne, rozwożą maszyny lotnicze, roztrąbują po świecie radjofony.

Gdybyśmy przyszli na ten padół w błogosławionym wieku XVII, moglibyśmy się dochować wnuków i prawnuków, zemrzeć w wieku zgrzybiałym, nie znając nadwornego poety nawet z nazwiska. Uderzmy się w piersi i powiedzmy sobie szczerze i wyraźnie: wycieczka w przeszłość, w owe złote okresy i gromkie epoki byłaby doprawdy bardziej uciążliwą od wyprawy do Tybetu i na Mount Everest. Nie mówiąc już o tem, że byłaby zabójczo nudna...

Wyobrażam sobie chwilami, że niejaki pan Omtadralski, który piórem i żywym słowem zapalczywie zwalcza teraźniejszość, zaopatrzony w specjalny giejt z warszawskiego Komisarjatu Rządu jedzie w epoki odległe i ma prawo stanąć, gdzie mu serce dyktuje. Może, dzięki protekcji, maszerować z Napoleonem na Moskwę, albo z Kolumbem odkrywać Amerykę. Naturalnie wybiera to drugie, siada 3-go sierpnia na wątył, śmieszny, cuchnący smołą i olejem żaglowiec, aby dopiero 12-go października wylądować na dalekiej wyspie, po tamtej stronie wielkiej wody. Przez dziesięć długich tygodni słucha poetycznego ryku fal zamiast nowoczesnych jazz-bandów, moknie na deszczu, śpi — jak flisak — w nędznej budzie na kupie brudnej słomy, jedyną jego rozrywką — jak to zresztą pięknie opisał mądry Mark Twain — jest nieduże jajo kurze, które co chwila wyjmuje z kieszeni i stawia sobie sztorcem na burcie, nudzi się, jak mops ostatni, żeby wreszcie — wytrzęsiony na nie chorobą morską — odkryć Amerykę. W podłych czasach naszych fruwający

Lewjatan — „Z. R. III. Los Angeles” — zaniósłby go w ciągu siedemdziesięciu godzin lotem huraganu z nad jeziora Bodeńskiego do Nowego Jorku. Miałby na pokładzie kuchnię elektryczną i mógłby rozmawiać radjotelefontycznie z domem i gwarzyć z ciotką Euzebją o pogodzie i zdarzeniach politycznych.

W podłych, tępych, nieciekawych czasach naszych wymyślono rotor Flettnera — prostą maszynkę, dwa wirujące, lekkie cylindry blaszane — rotor, który właśnie wytwarza w powietrzu te same zgęszczenia i rozrzedzenia, co i buńczuczna płachta żaglowa. Zamiast całych brygad spoconych, spracowanych ludzi, zamiast owych odwiecznych „hisuj! zwijaj! topżagiell! rudell! takiell!” jeden człowiek naciśnięciem guzika wprawia w ruch obroty dwie wypukłe blachy i zmusza najbardziej rozpętany huragan, aby go pchał łagodnie w dowolnym kierunku...

Ale to wszystko pana Omtadralskiego nie przekona. Siądzie pod drzewkiem wigilijnem i będzie wzdychał: dawniej! dawniej!! dawniej!!!

Natomiast w Piśmie, mili parafjanie moi, wybił to mocnymi głoskami, dawno, to zdanie wiekopomne:

„Nie mów: co za przyczyna iest, że pierwsze czasy lepsze były niżli teraz są? bo głupie iest takowe pytanie”.

Ekklez. Roz. 7 11.

WĘDRÓWKA NARODÓW

Mam wrażenie, że cała reforma finansowa i tak zwana sanacja skarbu odbywa się wyłącznie i jedynie moim kosztem. Wyczerpałem już wszelkie źródła dochodów, sprzeniewierzyłem kilka grubszych sum, naruszyłem kilka depozytów, wypożyczyłem od przyjaciół wszelką gotówkę i wszelkie walory, których w porę nie zdążyli ukryć przede mną. Dosyć! Dłużej nie mogę! Nie mogę płacić za mizerną kolację dwóch rubli w złocie, nie mogę płacić za upranie kilku kołnierzyków czterech dolarów albo dwudziestu dwóch franków szwajcarskich. Poddaję się! Kapituluję! Proszę mnie wziąć do niewoli! Proszę mi zająć Rurę!

Warszawa jest dziś najdroższem miastem na kuli ziemskiej! Za pieniądze, które tu wydajemy, moglibyśmy brać udział w karnawale nicejskim, za to, co nas kosztuje każdy łyk rodzimego powietrza, przesyczonego influenżą, gripą, pruderją, gadulstwem i plotkarstwem, moglibyśmy oglądać piramidy, Beduinów, cuda Luksoru, pałace dożów, gaje na Korfu i grotę na Capri.

Rozumiem, że sentyment, dawne nałogi, neurastenja trzymają nas tu jeszcze mocno — w Ziemiańskiej i u Lourse'a. Ale istnieje przecież jakaś lo-

gika! istnieją jakieś prawa przyrodnicze i ekonomiczne! Musi nadejść wreszcie dzień, kiedy wątle więzy pękną, fale ludzkie popłyną tam, gdzie życie jest łatwiejsze, miłsze, tańsze, niefrasobliwsze i piękniejsze! Nie trzeba doprawdy być aż prorokiem — wystarcza chwila zastanowienia, a prosty wniosek sam się myślicielowi nasunie: nadejdzie dzień, w którym my, Warszawiacy, będziemy świadkami nowej *wędrówki narodów!* Najpierw oczywiście stracą cierpliwość i przejrzą na oczy ludzie ubożsi. Zerwie się Przyokopowa, Targówek, Szmulowizna i, gnana koniecznością, ruszy w świat przez Czechosłowację, Austrię. Włochy, aby się osiedlić wreszcie na Rivierze. Następnie ta sama żelazna konieczność chwyci za kark ludność Żelaznej Bramy i ulicy Gęsiej, wyrzuci ją z sadyb odwiecznych i przerzuci na brzeg północny Adriatyku, poczem Wizygoci nasi będą sprzedawali szelki i szproty między Porto Rose i Rovigno. Za nimi pociągną długim sznurem ku Zachodowi dzielnice śródmieścia: ulica Czysta pod wodzą mego przyjaciela, Gustawa Zmigrydera, przepłynie kawał Morza Śródziemnego i osiedli się na Korsyce, aby dać światu nowego Napoleona w odpowiednim kostjumie. Plac Warecki, Szpitalna, Boduena, Mazowiecka, uzbrojone w dzidy i kramsztyki przejdą Pireneje i rozbiją namioty w Kastylji. Ja sam — tak mi Boże dopomóż — poprowadzę tubylców z Koszykowej, Polnej, Natolińskiej ku słonecznym wybrzeżom dawnej Kartaginy.

Warszawa w owym czasie — pod opieką miłościwie nam panującego ministra skarbu — będzie

już tak droga, że tylko najwięksi potentaci finansowi na krótki pobyt w tem mieście pozwolić sobie będą mogli. Arnold Szyfman przytuli się gdzieś w suterynie na Powiślu, Marjan Dąbrowski żywić się będzie skórkami od pomarańcz i razowego chleba, Heinzel, Kunitzer, Szereszewski, Poznański, Maurycy Zamoyski zawiążą towarzystwo akcyjne celem kupienia dla własnego i natychmiastowego użytku jednej porcji flaków garnuszkowych w jadłodajni na Browarnej.

Do „Astorji” zaś — na parówki z chrzanem i na śledzia z garniturem — przyjedzie specjalnie Vanderbildt z Ameryki, Rockefeller zajmie miejsce wieczyste do cna wyłysiałego Makuszyńskiego, przy czem okaże się, że podróż Nowy Jork — Southampton — Gdańsk — Warszawa, nawet w pierwszej klasie luksusowego parowca, tańsza jest od pary kretonowych kalessonów u B-ci Jabłkowskich.

Na turystę wracającego z tajemniczej Warszawy, patrzeć będą już wtedy w Europie, jak na dziwowisko, jego portret zamieści chętnie każde pismo ilustrowane w rubryce „Kaprysy miliardów”.

Co się w owej — niezbyt doprawdy odległej — epoce stanie z niedołączami, których lenistwo, albo choroba woli zatrzymają tu, na starych śmieciach, tego doprawdy sobie nie wyobrażam. Być może, że wrócą dla nich znów błogosławione czasy niewolnictwa i handlu ludźmi. To ich odrazu wybawi z wszelkich kłopotów materialnych. W halach targowych na placu Kercelego, na specjalnej podściółce ze słomy siadą sobie spokojnie obok członków Zwią-

zku autorów dramatycznych członkowie ZASP-u, dalej — przyodziani w kołdry i portjery — malarze i wreszcie — we frakach na gołym ciele — muzycy. Każdy restaurator, każdy zamożniejszy kmiotek będzie mógł, zamiast dzisiejszego kanarka, nabyć na własność i zamknąć w klatce dorosłego poetę lirycznego, dobrze owłosionego pianistę albo po prostu śpiewaka operowego.

Cierpliwszi z pośród tych nabywców zajmą się napewno hodowlą nowych odmian i kto wie, jaki tam gatunek ludzki wyrośnie ze skrzyżowania autora dramatycznego z jego własnym recenzentem...

Czekajmy a zobaczymy.

P O N G !

Pochodzę z rodziny szachistów i od lat najmłodszych czułem pociąg nieprzetarty do tej gry rycerskiej. Ojciec mój nigdy nie karmił mnie surowo — w potocznem znaczeniu tych wyrazów. W momentach psychologicznych sadzał mnie przy szachownicy na stołku, zdejmował połowę białych figur, dawał mi mata oznaczonym pionkiem w oznaczonem miejscu i w ten — nieco abstrakcyjny, ale niemniej dotkliwy — sposób łąił skórę swemu młodocianemu partnerowi. Od zarania mej młodości wiedziałem też, że szachy są stylizowaną wojną, że pochodzą ze Wschodu i że dawni mędrcy wymyślili je po to, aby kształcić młodych maharadzów w sztukach strategicznych. Wiedziałem, że w tej grze zwycięża ten, kto w najtrudniejszych opresjach nie traci ducha, zdobywa się na fantazję, na polot, kto potrafi w okolicznościach beznadziejnych wykrzesać z siebie pomysł genialny. Tak właśnie — mówiły legendy rodzinne — zwyciężył i pokonał stryj mój, Szymon, głośnego Steinitza na turnieju wiedeńskim.

Białych i czarnych wież, drewnianych koni i laufrów nie widziałem już dawno, sprzeniewierzyłem się tradycjom familijnym i grze królewskiej...

Zato — któregoś niedzielnego popołudnia — na jednym z five'ów warszawskich zasadzono mnie do mahjongga, wręczono mi trzynaście kamyków z barwnymi demonami, wiatrami, charakterami, bambusami i dobrzy ludzie wtajemniczyli mnie w arkana tej gry odwiecznej, która przywędrowała z Chin, znana jest od lat kilku tysięcy, ale dopiero teraz szturmem podbija Europę i robi furorę w Paryżu, Londynie, Nizy i Tomaszowie. Od chwili, kiedym prawa owego madżonga dokładnie poznał, kiedym pochwycił jego sens filozoficzny, rozumiem sukces tej zabawy w świecie dzisiejszym. Więcej powiem — jestem zdecydowanym madżongistą, wierzę, że ta rozrywka ma w czasach naszych bardzo doniosłe znaczenie kształcące i życzyłbym sobie, aby ministerjum oświaty wprowadziło pongi, czao, wiatry pomyślne, smoki i bambusy do szkół średnich.

Okazuje się prosto, że mędrcy Wschodu umieli stylizować nie tylko wojnę, ale i koniunkturę powojenną! W ma-dżongu zwycięża ten, kto — ustawicznie sprzedając i kupując — potrafi sprytnie wycofać z obiegu wszystkie — pozornie bezwartościowe — demony kwiatki, „pisma” albo wiatry. Woła wtedy: — Hallo! uciulałam tu sobie — cierpliwością i pracą, umiejętnie korzystając z każdej okazji — cztery wiatarki południowe, mam wszystkie trójki bambusowe, zgromadziłem wszystkie kwiatki, mam w ręku wszystkie zielone smoki w Warszawie... Płacić! — I oszołomieni partnerzy, którzy we właściwym czasie nie zdobyli się na energję, prześlepił odpowiedni moment, przegapili sposobność

i chwilę, zapomnieli o jakiejś korzystnej wyprzedaży płacą, obiecując sobie solennie, że w następnej „kolejce” będą mądrzejsi.

Nie wiem, czy się tłumaczę dość jasno, wątpię nawet, czy w ubogim języku europejskim można wyłożyć dokładnie rzecz tak skomplikowaną, jak zasady gry chińskiej. Wiem tylko, że dla mnie — ma-dżong jest poprostu objawieniem, kwadraturą koła i błyskawicą w ciemnościach. Od iluż to lat wałęsamy się po tem mieście, jak głupi, podziwiamy, otworzywszy szeroko usta, spryt ludzi powojennych, którzy ni stąd ni zowąd, przeczuwszy konjunkturę, potrafili wykupić nagle wszystkie fortepiany albo rodzynki, wszystkie kawiarnie albo pisma, fałaty albo kossaki, węgle albo bambusy — i nie domyślamy się wcale, że reguły tej zabawy znają na wylot od kilku tysięcy lat nawet małe dzieci na dalekim wschodzie. Od iluż to lat zbijamy bruki warszawskie, patrzymy w olśnieniu, nic nie rozumiejąc, na to, jak wszystkie kawiarnie zamieniają się raptem na banki i amerykpole, potem znowu amerykpole i banki na redakcje pism, wreszcie redakcje pism na kawiarnie — i nie przypuszczamy, że już na dziesięć wieków przed narodzeniem Chrystusa pewien mądry szuler chiński znał tę grę doskonale i przecuciem wiedziony z najgenialniejszych zarządzeń naszych uczynił poobiednią rozrywkę towarzyską dla dorastającej młodzieży.

Przeniknąłem nawskroś, zgłębiłem reguły ma-dżongowe i odtąd innem okiem spoglądam na naszą

politykę finansową i paszportową na nasze reformy administracyjne i zjawiska gospodarcze.

— Słyszał pan? — mówią mi znajomi — Drnąbzdziński kupił cały żywy i martwy inwentarz „Łobzowianki”, „Kurjera Zielonkawego” nabył „Starą panią” i „Młodego Lowelasa”... Co pan na to?

— Wcale mnie to nie dziwi — odpowiadam. — Układa sobie poprostu kwong z pism. Jeżeli w odpowiedniej chwili zdobędzie cztery zielone smoki, doda brełan z białych dragonów i wetknie w środek dwa własne kwiatki, to może wygrać partję. Jeszcze zarobi na tej imprezie ze trzy tysiące punktów...

Czy to nie skandal, panie! — oburza się ktoś inny. — Ignacy Gdybyś został szefem departamentu! Iksińskiego, fachowca, człowieka nieskazitelnego redukują, a biorą na jego miejsce takich, jak Czumusz, Zacoś i Niewiada-Pocóż?

— To nic! — replikuję. — Dobrze jest, jak jest. Ktoś sobie tworzy bukiet z idjotów. Jeżeli ich będzie miał wszystkich w rękę, a prócz tego dobrą konjunkturę i cztery własne wiatry, to może nawet pokonać partnerów politycznych. Epoka genialnych posunięć, epoka szachistów minęła już dawno. Dziś gramy w mah-dżonga, panie, i nawet pong z nonsensów — zwłaszcza przy zupełnym braku charakterów — może się szczerwanemu graczowi przydać... Trzeba je tylko kolekcjonować umiejętnie.

Od jutra zacznę stosować reguły madżonkowe w pracy literackiej.

PODRÓŻE

TILLY II

Teraz, kiedy wielkie okręty powietrzne śmiało, pewnie, niechybnie z Europy do Ameryki płyną, kiedy lada dzień w Lake Hurst, amerykańskim porcie lotniczym — na miejscu widocznem — wymalują rozkład jazdy, jak u nas, na dworcu Wiedeńskim: *Statek „Los Angeles“ odpływa do Europy 5.24, przeleci nad Wyspami Azorskimi 18.40, ląduje w Southampton 7.12, — Zeppelin „Monitoba“ wskutek burzy na Atlantyku opóźni przyjazd o minut dwadzieścia* — teraz, powiadam, przypomina mi się, że i ja, nędzny skryba i szary szczur lądowy, jestem poniekąd albo potrosze pionierem tej wielkiej sztuki, że i ja byłem lkarem, i ja żeglowałem po błękitach w nadętej „montgolfierze“. I ja bujałem tam w górze, „pod obłokiem, by na glupstwa nędzy tyle dumnem mędrca spojrzeć okiem“.

Działo się to lat temu czternaście z okładem. Zamożne miasto Frankfurt, gdzie pracowałem jako asystent w sławnym Instytucie Fizycznym, posiadało w owym czasie sporą płachtę impregnowaną, właściwie — worek, który w stanie nadętym mógłby pomieścić czteropokojowe mieszkanie warszawskie

— z kuchnią, łazienką i wszelkimi wygodami. Ów worek razem z przyczepionym doń mocnymi sznurami koszem od bielizny (gondolą) tworzył przyrząd, zwany „Tilly II” — Tilly, bo tak właśnie było na imię córce burmistrza, która zresztą w tem opowiadaniu nie odgrywa, niestety, żadnej roli. „Tilly II” co pewien czas wzbijała się w powietrze i służyła wyłącznie do przeróżnych badań naukowych.

Razu pewnego kolega z meteorologii, Rotzoll, opowiadał nam, fizykom, przy herbacie barwnie i zajmująco o swoich przejażdżkach tym balonem i wrażeniach napowietrznych. Rotzoll był wogóle urodzonym epikiem i albo zupełnie milczał (naprzykład przy egzaminie doktorskim, którego też nigdy zdać nie mógł), albo mówił, osiągając nadzwyczajne efekty plastyczne zapomocą samych tylko rzeczowników:

— Wzlot! Barograf — chmury — słońce, jak herbatnik. Myślę sobie: zaćmienie! Patrzę na dół: cień balonu — półksiężyc! Powiadam — co u licha? Balon jest okrągły, a cień ma w kształcie piernika? I dopiero, kiedy sobie to wszystko narysowałem na papierku — rozumiem! Optyka geometryczna — camera obscura...

W miejscach trudniejszych Rotzoll nadrabiał miłą, albo gestem, zabierał nam filiżanki, podstawki, łyżeczki, które traktował jako modele czy pomoce szkolne, i wyjaśniał sprawy zawilsze, żonglując sitkiem od herbaty. Słuchaliśmy z zapartym oddechem.

— Kubuś! — rzekłem wreszcie do przyjaciela i warszawianina, Stanisława Z. — jedziemy! Musimy

sobie wynaleźć jakiś gwałtowny powód, jakiś „cel naukowy” i pofrunąć.

— Dobrze, ale co? — zastanawiał się Kubuś, czyli Stanisław Z. — Co uczciwy fizyk będzie robił w powietrzu? To są zabawki dla tych tam — meteorologów. Badają kierunek wiatru, albo zachmurzenie, ale my? Ludzie nauki? W balonie? W „Tilly”?

Zabrałem się do roboty, jałem wertować książki, medytować, wyliczać.

W trzy dni później — plan był gotów. Zawezwałem Kubusia do mego pokoju w laboratorium (Z. pracował na pierwszym piętrze, gdzie przerabiał ćwiczenia ze studentami), posadziłem go na stołku pod manometrem rtęciowym i odezwałem się do niego temi słowy:

— Określimy i wyznaczymy zawartość pierwiastków promieniotwórczych w powietrzu frankfurckiem.

— Co?!

— Nie krzycz. Słuchaj. Praca będzie się nazywała w ten sposób: „Zur Kenntniss der Radioaktivitaet der Erdatmosphaere”. Aparatura jest nader prosta. Zabieramy dwie rury z węglem drzewnym i konewkę z wodą. Tam — w górze — przepuszczamy powietrze nad węglem, węgiel absorbuje emanację radu — tak powiada wyraźnie fizyk angielski, prof. Eve. Po powrocie badamy całą miksturę elektroskopowo — wyliczamy. Jeszcze nas umieszczają w „tablicach”, gdzie będziemy figurowali po wsze czasy, dopóki ktoś lepszego pomiaru nie wykona. Potomni będą o nas mówili z rozczuleniem, stu-

denci będą się „oblewali” przy egzaminach, jeżeli — co nie daj Boże — nie potrafią odpowiedzieć na pytanie, ile nasza rura zawierała gazu. Zobaczysz, Kubuś, przekonasz się...

Rzecz dziwna! Mój projekt istotnie zaaprobowano!

„Panowie Dr. W., Dr. Z., docent Dr. Mateusz Seddig wyruszą na koszt Instytutu balonem „Tilly II” dla dokonania badań nad składnikami promieniotwórczymi atmosfery. Pilot — asystent Rotzoll”.

Klamka, jak to mówią, zapadła, odwrotu nie było. Ja, który o balonie wiedziałem tyle, że jest wypukły tam, gdzie nie bywa wklęsły — zostałem raptem nieomal szefem ekspedycji. Ugiąłbym się na pewno pod brzemieniem odpowiedzialności, ale nie miałem na to czasu zupełnie. Od rana trzeba było ów węgiel w długich rurach szklanych prażyć, wypędzać zeń wszystkie „składniki” niedozwolone, uwalniając miejsce dla składników promieniotwórczych. Trzeba było przeróżne próby i zwykłe przedbiegi uskuteczniać, ważyć, mierzyć, liczyć, sprawdzać. A tu jeszcze co shwila terkotał telefon wewnętrzny Instytutu, co chwila Rotzoll, który, jako specjalista w dziedzinie pogody, miał wybrać dzień dla wyprawy najodpowiedniejszy, komunikował swoje spostrzeżenia meteorologiczne:

— Anglja — ciśnienie 760. Niż barometryczny na północy. Pogoda — palce lizać. Cisza — wiaterek wschodni. Pchnie nas napewno do Holandji. Jak tam rura? Gotowicie?

Nie mogłem się byle meteorologowi spowiadać z utrapień natury fizycznej. Telefonowałem: all

right, wszystko w najlepszym porządku, czekamy na was.

Uwijaliśmy się obaj z Kubusiem przy piecu gazowym — z początku wesoło i rezolutnie, później nieco ospale. Mieliliśmy, prawdę mówiąc, odrobinę nadziei, że jaki dobrotliwy piorun strzeli w tę ohydłą impregnowaną płachtę, którą tymczasem zawieziono do fabryki gazowej, do Griesheim, gdzie ją — na dany znak — miano napęlić wodorem. Dowiedziałem się przy tej okazji, ile metrów sześciennych wchłania taka nieszczęsna „Tilly” i że ją trzeba wydmuchiwać przez noc całą.

— Skoro im dziś powiem „wio!” — telefonował Rotzoll — to nazajutrz musimy jechać — nieodwołalnie. Inaczej wodór zdyfunduje do luftu i całą operetkę trzeba zaczynać nanowo. Czekam zatem na pogodę absolutnie pewną i stałą. Jak tam rura? Gotowiście?

— Powie pan panu asystentowi, Rotzollowi — krzyczałem groźnie na pocziwego wylupiastookiego mechanika, Metzgera, który ten komunikat telefoniczny odbierał — powie pan temu panu z meteorologii, żeby nosa do naszych spraw nie wtykał. Co go rura u licha obchodzi? Niech uważa, żeby deszcz nie padał, żeby słońce świeciło i żeby zefirek dmuchał. Niech chmury rozpędza i powiększa ciśnienie atmosferyczne. Jeszcze żaden fizyk ekspedycji naukowej nie opóźnił. Uwaga! Zaczynamy drugą serję doświadczeń!

W sobotę po południu siedzieliśmy sobie z Kubusiem, gwarząc spokojnie przy elektroskopie — sy-

gnał Telefon dzwoni donośnie raz — dwa — raz.
Instytut meteorologiczny.

— Co tam?

— Powiedziałem im „wio!” Anglja 756. Wyż barometryczny nad Irlandją. Pogódka — daj Boże każdemu. Jutro o 6-ej piętnaście spotykamy się na dworcu Głównym. Koleją do Griesheim. Stamtąd piechotą do fabryki „Elektron” — do gazomierza. O ósmej ładujemy aparaty, balansujemy „Tilly”, czekamy na wiatr południowo-wschodni, ciskamy worek balastu i jazda! Jak tam rura? Gotowiście?

Mały Kubuś przybladł cokolwiek.

— Spytaj go — rzekł głosem drżącym, — czy jest pewien, że się nie zanosí na burzę. Niedawno — w Japonji — był niesłychany cyklon. Całą wieś zmiotło...

Dzwonię raz — dwa — raz — trzy.

— Jestem. Instytut meteorologiczny. Asystent Rotzoll. Kto mówi?

— Mówi pracownia fizyczna. Rotzoll, czy... Czy wy jesteście pewni, że wzlot odbędzie się zupełnie spokojnie? Nie chodzi mi o życie, bo co tam jedno marne życie ludzkie... Ale rura! Nie macie pojęcia, co to za rura. To lada wiaterek może skruszyć na miazgę. Więc — jeżeli są jakie wątpliwości, jeżeli stan powietrza budzi najmniejsze obawy — odłożmy lepiej całą sprawę. Nic pilnego... Pojedziemy we wtorek, albo zaraz po pierwszym. Na przykład dwudziestego dziewiątego... Poco się spieszyć?

— Niema żadnych obaw! Pogoda — mur. Słoń-

ce — amen w pacierzu. Od trzeciego wieku przed Narodzeniem Chrystusa nie było tak pomyślnego rozkładu ciśnienia! Jutro o szóstej na dworcu...

Nazajutrz o szóstej lało, jak z cebra. Wicher miotał suchotniczymi drzewkami na Bockenheimer-Landstrasse, niebo wisiało nad miastem szare, ciężkie — metalowa przykrywka na kuflu.

W poczekalni kolejowej siedziało kilka osób, „od wczoraj”, niewyspanych, podśpiewujących i wstawionych. Przy stoliku pod oknem pili kawę członkowie ekspedycji. Dr. Mateusz Seddig miał na sobie ceratową kurtkę, głowę zaś przyozdobił kaszkietem koloru niebieskiego. Asystent Rotzoll — pilot — we włóczkowym swetrze i czapce sportowej przypominał nieco cyklistę, Z. w melonie i paltocie warszawskim z dwoma gąsiorami, napełnionymi wodą wyglądał, jakby się udawał na podmiejską stypę pogrzebową. Przy nim w pozycji bardzo niewygodnej siedział, dzierżąc niedużą walizeczkę na kolanach, jakiś bardzo zażenowany człowieczyna o wyglądzie prowizora farmacji. Był to, jak się okazało „płatny pasażer” naszej wyprawy, nauczyciel, który w ostatniej chwili — drogą protekcji — zapewnił sobie jedno miejsce w gondoli. Pocziwina wykładał w szkołach lat kilkanaście, mówił rokrocznie dzieciom o balonach, obcinał uczniów z aerostatyki i chciał zobaczyć, jak taka rzecz wygląda w naturze.

Towarzystwo spoglądało na szyby, smagane deszczem, na mokry peron, i miało miny kwaśne. Jeden tylko Z. uśmiechał się wesoło.

— Nie jedziemy — rzekł mi na ucho. — Leje! Już jak się Rotzoll weźmie do roboty... Będzie lało ze trzy tygodnie. Wogóle — nic z tego!

Pilot ściął fajkę i przeglądał jakieś kartki, na których blademi linjami nakreślony był kontur Europy.

— Popada sobie — mówił — i przejdzie. Już się nawet wypogadza.

W tej chwili właśnie wicher dmuchnął tak gwałtownie, że zerwał z głowy czapkę tragarzowi kolejowemu i toczył ją po szynach w kierunku na Heidelberg i Bazyleę.

Do sali wszedł portjer, zadzwonił i głosem donośnym, basowym grzmiał, jak przez tubę:

— Personenzug nach Griesheim... — zheim... nheim... ssheim. Bahnsteig zwei!... Sofort einsteigen!

Pilot zerwał się z miejsca, nasunął na ucho czapkę cyklistowską.

— Jedziemy! W Griesheimie też jest knajpa! Tam sobie możemy ułożyć spokojnie dalszy plan działania. Nie wiem, poco tu mamy wysiadywać — wśród gawiedzi i wczorajszych pijaków.

Zabrałem obie rury, które wyglądały jak dwa szklane kije bilardowe, Kubuś wziął pod pachę oba gąsiorki, niezbędne dla badań nad składnikami, profesor chwycił walizkę za ucho... Pojechaliliśmy.

W Griesheimie przy dworcu była istotnie jakaś knajpa i tam też założyliśmy kwaterę główną. Pilot telefonował do fabryki „Elektron“ i do Instytutu frankfurckiego, stawiał jakieś kółka i chorągiewki na mapie Europy. Wreszcie (grałem właśnie naj-

spokojniej z Kubusiem w bilard) oznajmił nam, co następuje:

— Barometr... ciśnienie... izobara... Zachmurzenie... opady... kierunek wiatru... Jednem słowem — jeszcze nie wszystko stracone. Idziemy do fabryki, do gazomierza.

Poszliśmy. Pochód otwierał uroczysty Mateusz Seddig w kaszkiecie, na końcu szedł, dzwoniąc zębami i szklanemi gąsiorkami, Kubuś.

W tym samym ordynku bojowym wtoczyliśmy się przez małą furtkę na olbrzymie podwórko fabryczne. Po prawej — gruby parkan, za nim plant kolejowy i las kominów, po lewej — pola i ugory, przed nami — czerwone mury „Elektronu”, do których się tulił potężny, wielopiętrowy blaszany okrąg — gazometr. U stóp owej strasznie „grubej kłaski” wyrastał tuż przy ziemi żółty bąbel. Narośl podrygiwała lekko, sięgała mniej więcej do wysokości trzeciego normalnego piętra i ujęta była w siatkę sznurową. Sznury biegły od wydętego pęcherza do kosza i od kosza znowu we wszystkie strony, wałęsały się po ziemi, tworzyły wdzięczne esy-floresy, jak na wystawie w sklepie powroźniczym. Cały nowotwór złośliwy — razem z koszem — nazywał się właśnie w języku naukowym „Tilly II”.

Wiatr — jakby na złość — przyczaił się na chwilę, przycichł. W górze, w szarej oponie chmur powstał ni stąd ni zowąd niewielki przerębel. Wyjrzało słońce.

— Musimy na wszelki wypadek zbalansować „Tilly” — rzekł Rotzoll.

Zgasił fajkę, przesunął czapę z lewego ucha na prawe i ruszył mocnym krokiem w stronę gazomierza. Opierając się na rurze z węglem, jak pielgrzym z „Tannhäusera” na wędrownym kij, podążyłem za nim. Za mną szli: nauczyciel, docent Mateusz Seddig i Kubuś.

I znów — tak tylko, na próbę, bez poważniejszych zamiarów — wgramoliliśmy się do kosza, pozawieszaliśmy nasze rury i gąsiory, poprzywiązaliśmy je sznurkami do lin balonu, rozlokowaliśmy się w ciasnej gondoli, która pod naszym ciężarem przycupnęła natychmiast, osiadła nieruchomo na ziemi.

Z fabryki wybiegło kilku robotników i Rotzoll objął nad nimi dowództwo, komenderował z kosza głośno w mało zrozumiałem narzeczu frankfurckiem. Odczepił kilka woreczków i wysypał z nich piasek. Coś tam powiedział, dał jakiś znak umówiony, panowie z fabryki chwycili za zwisające postronki... „Tilly II” jęła się wysuwać z za gazomierza na otwarte pole.

Staliśmy — pięciu chłopów — na dnie kosza od bielizny, na płaszczyźnie niewiększej od blatu średniego stolika w „Ziemiańskiej” albo w „Astorji”. A prócz tego — mówię tu, oczywiście, o dziesięciu pokaźnych męskich stopach i pięciu takichż postaciach — ów kosz zawierał jeszcze walizkę „płatnego pasażera”, szereg butelek z wodą sodową, kilka pudeł od aparatów, dwie butelki wina i jakiś galimatjas sznurów, z których jeden był czerwony,

najważniejszy, i otwierał podobno tajemniczy sztyber u szczytu balonu.

Cały ten dorodny martwy i żywy inwentarz wisiał mniej więcej na wysokości dwóch metrów nad ziemią i dyndał się łagodnie pod olbrzymią kulą, jak źle przyszyty guzik przy kamizelce atlety cyrkowego.

Panowie z dołu ciągnęli nas wolno, ale pracowicie i po kilku targnięciach wyjechaliśmy wreszcie na podwórko, wydostaliśmy się — jak mówił fachowo pilot — z cienia gazometru.

Wicher tylko czekał na tę okazję. Sznury załotały, balon drgnął i gondola, trzymana mocno przez muskularnych majstrów fabrycznych, umieściła się w powietrzu jakoś skośnie w ten sposób, że ja leżałem na docencie, Mateuszu Seddigu, na mnie płatny pasażer, a na nim znowu mały Kubuś.

— Trzymać — krzyczał Rotzoll. — Wszyscy do sznurów! Trzymać!...

Ale — pomimo pozycji skośnej — zorjentowałem się odrazu, że już żadna siła ludzka Tilly II nie utrzyma. Wicher nabrał szalonego rozmachu, walił raz po raz w olbrzymią powierzchnię wydętej płachty nad nami i pchał wielką żółtą kulę mocnymi uderzeniami w stronę parkanu, w stronę kominów fabrycznych, drutów i przewodów elektrycznych.

Sznury, przyczepione do gondoli, miały już prawie kierunek poziomy, kosz zamiast pod balonem wisiał sobie zawadjacko gdzieś z boku — panowie na dole ezepiali się konwulsyjnie za zwisające powrozy...

Nagle... Wichura nawet nie wysiliła się zbytnio: nic nie zawyło, nic nie gwizdnęło groźnie. Wystarczyło jedno mocniejsze dmuchnięcie. Liny kotwiczne wyrwały się z rąk tych ludzi, widziałem tylko ich oczy przerażone, słyszałem jakieś okrzyki niezrozumiałe. Gondola — uwolniona nareszcie z opresji — z wysokości dwóch metrów runęła natychmiast na ziemię, ryjąc grunt tym końcem, przy którym stał Mateusz Seddig. Potem znów radośnie podfrunęła w górę, aby po chwili zaorać ugór naróżnikiem, przy którym ja stałem. Upodobawszy sobie widać tę zabawę, kosz w ustawicznych przysiadach włókł się za balonem: hop! do góry i w te pędy bęc! nadół. Zupełnie jakby jakiś żartobliwy olbrzym opukiwał żywym młotem podwórko. Raz wali w ziemię płatny pasażer, mały Kubuś i asystent Rotzoll, raz — dla odmiany — ja i Mateusz Seddig. I znów wahadło jedzie do góry i znów bije o piach nauczycielem ludowym.

Najgorsze, że cały ów „trepak” idzie w niewłaściwym kierunku. Mocny drewniany parkan zbliża się ku nam coraz bardziej — widzę dokładnie grube deski, nad nimi tęgie druty — przewody elektryczne. Jeżeli nie zginiemy od uderzenia, to już na pewno zawiśniemy na którejś żelaznej linii, na kablu z napisem: *Uwaga! Wysokie napięcie!* Gdybyśmy się cudem ześlizgnęli z kabla, to są jeszcze kominy fabryczne — stoi ich tam olbrzymi czerwony pułk przed nami, każdy dryblas uzbrojony w piorunochron... Niema o czym mówić — koniec. Kurtyna.

Kojec, w którym się gnieździł, odskoczył raz jeszcze, jak piłka, na okazały dystans, odwrócił się zgrabnie, akurat wąskim bokiem, przy którym stałem, ku parkanowi, powziął widzieć decyzję, że go zaatakuję tym frontem i, nabrawszy rozpędu, huknął z impetem parowego młota w dwucalowe deski. Nawet się nie schyliłem — bo i po co? Jakiś niesamowity, srebrzysty brzęk tłuczonego szkła, rumor, trzask desek, wrzask głosów ludzkich... — Potem gondola wykonała kilka jeszcze żwawszych ruchów: dnem do góry, dnem na dół, coś się zakołysało przekręciło, jakieś druty i szyny mignęły mi w oczach.

Cisza...

Cisza tak doskonała, jakbym wpadł w szufladę, napelnioną watą. I rzeczywiście kłębi się pode mną szereg brudnych poduch, nade mną przewalają się jakieś jaśniejsze, lśniące pierzyny — stoję w koszyku, przywieszonym do dużej kuli footballowej, *sam jeden wśród obłoków!* W rękach trzymam jeszcze ogryzek szklanej rury, wypełnionej węglem, serce dudni mi w piersiach, puls — 728, temperatura — 273, wrażenia akustyczne — 0,1, wrażenia optyczne — jasna chmurka goni atramentową ciemną chmurkę, potem jeden pokład brudnych betów pryska wodą na inny pokład betów, kłęby pary w dole wzdymają się aż do kosza, opadają, rozpluwają się, jak mleko, które wreszcie wykipiało...

Widzieć żółte i zielone kwadraciki pól i po tym polatanym pledzie szkockim sunie czarna mucha czy chrabąszcz — lokomotywa kolejowa. Rzeczka,

jak nić babiego lata, przy niej kilka pudełek z czerwonymi pokrywkami. Wszystkie te zabawki jakiś figlarz ustawił na dziwnie głębokim talerzu, porzucał je bez sensu do miski, której brzeg oddalony sięga aż do mego poziomu.

Nie ulega żadnej wątpliwości — wiszę tu w tym kojcu co najmniej trzy tysiące metrów ponad solidną skorupą ziemską! Zupełnie, jakbym wyszedł w obcym mieszkaniu na balkon, wychylił się z piątego piętra przez balustradę i nagle, oderwawszy się razem z tą nikłą ozdobą architektoniczną od domu, pofrunął w przestworza na wysokość stu dwudziestu kamienic. Żywej duszy obok mnie niema — jestem sam!

Mogę krzyczeć — ale mnie nikt nie usłyszy, mogę wołać „na pomoc!” — ale nikt na tym padole z pomocą mi nie przyjdzie, choćbym sobie fruwał dwa lata i kwartał. Nikt na świecie ręki mi nie poda i nikt mi nie poradzi. Mogę pociągnąć za czerwoną linę, która otwiera szyber, ale pojęcia nie mam, jaki to wywoła efekt: czy Tilly II razem ze mną rymnie, jak kamień, w przepaść, czy też otuli mnie łagodnie swoją impregnowaną płachtą, wypełnioną wodorem. Mogę wreszcie pociągnąć za niebieską linę, chociaż nie wiem, do czego właściwie służy — ale nie lubię doświadczeń z przyrządem nieznanym i to jeszcze trzy kilometry nad ziemią. Ogromnie trudno jest w tej pozycji o obiektywizm naukowy... Każda nieudana próba grozi śmiercią...

A tymczasem przekłęta Tilly mknie lekko nad krajobrazem i albo huknie mojem wątłem ciałem

o jakie Alpy, albo roztrzaska mi czaszkę o Pireneje, albo poporostu wywiezie mnie na Ocean Atlantycki i tam dopiero utopi w słonej wodzie!... W starych romansach piszą, że rozhukany rumak jest straszny. Głupstwo! Najbardziej rozbrykany koń ma jakąś uzdę, grzywę, ogon, coś, za co go można chwycić w momencie krytycznym — ale taka oszalała Tilly pędzi naoslep, przesadza góry i rzeki, mija wsie i miasta i drwi sobie z wszelkich wędzideł i hamulców, których zresztą wcale nie posiada! Najdziwszy „latawiec wiatronogi” ma — mimo krwią nabiegłych oczu i rozdętych nozdrzy — gdzieś tam odrobinę serca i instynktu samozachowawczego, może stanąć, opamiętać się, — ale taka, wodorem nadęta żółta płachta, wali wyniosłe i obojętnie przez łańcuchy skał, rwie ponad spienione oceany ku niechybnej katastrofie z szybkością stu kilometrów na godzinę... — zimna, spokojna nieprzystępna... Tak sobie postanowiła i niema apelacji! Cóż znaczą obłąkane bucefały, cóż wszystkie przeraźliwe rumaki Apokalipsy wobec jednej rozpętanej, okragłej Tilly drugiej?...

Wyprawa — jak się łatwo domyślić (niemógłbym przecie napisać tej relacji) — skończyła się nadspodziewanie łagodnie. Wcale nie byłem sam w owej łodzi powietrznej! Przegapiłem poprostu jakąś komendę: — „padnij” czy „kucnij” — i stałem wyprostowany, zachowałem pozycję pionową, podczas kiedy towarzysze podróży przywarli na płask do dna kosa, przyczem płatny pasażer leżał na pudle od barografu, Mateusz Seddig na pasażerze a mały

Kubuś i pilot, asystent Rotzoll, owinęli się spiralnie około postawionej na sztorc walizki nauczyciela ludowego mniej więcej tak, jak wątył bluszcz owija pień rosnącego dębu. Odkryłem ich wreszcie wśród rupieci, postawiłem na nogi, napiłem winem z jedynej nierozbitej butelki i po godzinnej podróży w chmurach i błękitach wylądowaliśmy przy pomocy miejscowych chłopów w jakiejś cichej wsi bawarskiej. Nie pamiętam, jak się owa wieś nazywała, nie pamiętam również, co napisałem w raporcie o „składnikach promieniotwórczych” (wszystkie przyrządy, obie rury z prażonym węglem i oba gąsiorki z wodą rozprysły się oczywiście już przy starcie i leżały w pyłe pod płótnem kolejowym)...

Wiem tylko, że tej krótkiej chwili samotnych rozmyślań — „tam w górze, pod obłokiem”, zdala od mrowia ludzkiego — nie zapomnę. Mam od owego czasu respekt dla żeglarzy powietrznych i nawet mały, czerwony, dziecinny balonik budzi we mnie szacunek i trwogę... Kiedy mnie tęsknota za samotnością i odludziem ogarnia — idę o 3-ej do Ziemiańskiej, albo o 4-ej do Biblioteki Publicznej. Nie należy w tych rzeczach przesadzać!

JIZDENKA

Ludzie sceptyczni nie mają racji,—cuda się i dziś jeszcze dzieją, a bajki dziecinne mówią szczerą prawdę. Są wyrazy dziwne, są słowa tajemne, które najcięższe podwoje otwierają. Jedno z tych zaklęć brzmi podobno: „Sezamie, otwórz się!”, inne brzmi napewno: „*celorocni jizdenka!*”.

Kiedy — z okazji jakiejś premjery w Pradze — uprzejmy konsulat czeski przysłał mi nieduży kawałek kartonu i list z zapewnieniem, że wystarcza, abym ten kartonik u dołu podpisał, a mogę jeździć przez trzy miesiące wszystkimi kolejami C. S., nie wysiadając z wagonu, „rychlowlakiem” i pierwszą klasą,—uśmiechnąłem się łagodnie od ucha do ucha. Nie wierzę! Miałem już niejedną premjerę w Warszawie, wiem, co człowiekowi w tym wypadku grozi, wiem, co go za to czeka i na plewy wziąć się nie dam! Prawdopodobnie konduktor w Piotrowicach, zobaczywszy mój kartonik, sprowadzi natychmiast kogo należy, poczem zamkną mnie w jakiej podejrzanej ubikacji i odczytają mi chórem na głos — zaraz na granicy—coś w rodzaju recenzji kolegi Zakrystowskiego...

I, patrzcie państwo, omyliłem się! Konduktor na sam dźwięk wyrazów „całoroczna jizdenka” salutuje uprzejmie, wskazuje dworskim gestem pluszową kanapę w przedziale „Praha—Karlovy Vary” i jadę—ja—parjas, autor dramatyczny!—dokąd lokomotywa poniesie! Jak maharadża z Beludżystanu, jak premier afgański!

W Pradze trafiam na ferje teatralne... Toby ostatecznie można było przeboleć. Gorzej, że widocznie z powodu końca sezonu, ktoś zapuścił szarą kurtynę na wszystkie słynne widoki i perspektywy pięknego miasta. Z Petrzyna widać zarysy wieżyc, widać Hradczany, jakby naszkicowane rozwodnionym tuszem—mgły się wałęsają nad Wełtawą i czasem tylko, o zachodzie, błysnie czerwony otwór w teatralnej zasłonie — słońce.

Ale człowiek, który — jak ja — zna tajemne zakłęcie, nie obawia się burz, ani mgieł. Wskakuję w pierwszy lepszy pociąg na dworcu Masaryka, wołam „jizdenka!” — mija pół butelki wina czerwonego i jeden rozdział książki Fabre’a o owadach—Karlsbad! Rzeczulka „Ciepła” wiję się serpentyną wśród pagórków zielonych, kłęby pary buchają ze „Sprudla”, jak z lokomotywy—i w wąskiej kotlinie snują się, jak na dobrym filmie, ludzie ze wszystkich stron świata... Nic mi nie jest, wody pić nie zamierzam, wolę Pilznera od Giesshüblera, a jednak — przyznać muszę, że już atmosfera wielkiego kurortu dziwnie kojąco działa na nerwy. Cóż to, na przykład, za rozkoszna lektura taka lista przyjezdnych! Studuję ową kurlistę co wieczór i serce mi rośnie.

Jestem od onegdaj współobywatelem pana Kirkora Tuntudzana, który przyjechał z Filipopolu z synem Kevorkiem, jestem kolegą i sąsiadem markiza Heli de Talleyrand, Frajdy Rozenberg, Bensussana, Margit Salomonowicz, Fedry Eftiwulu, Rives'a George'a Barklay'a, Alfreda hr. Potockiego, Perkuta Ino a Branko, Taher El Lozy Beya... W rubryce: „po-
byt stały” czytam słowa, które dla mnie przynajmniej, brzmią, jak epicki poemat, pisany vers-librem: Ateny, Kowno, Grosswardein, Middletown, Kielce, Vevey, Philadelphia, Memphis, Miechów, Addis, Abeba, Green Bay, Hajdunanas, Warszawa, Nyiregyhaza... Żadnem nazwiskiem, ani powołaniem nie można tu nikogo zadziwić, żadne imię nie wywoła sensacji. Kornel Makuszyński ma już na sąsiedniej stronicy konkurenta w Kornelu Kuzsiku, który razem z Jacubek Ludmiłą przybył właśnie z Jaffy.

A kiedy raniutko o świcie, o 8-ej, wszystkie te Middletowny, Filipopole, Nowe Bydżovy, Kairy, Limy, Toronta ruszą na deptak, pod Mühlbrunn, kiedy jedwabne swetry angielskich ladies migać poczną obok atlasowych chałatów rabinów galicyjskich, kiedy się wzdłuż rzeczki Ciepłej rozwinie barwny pochód tych ludzi, uzbrojonych w kubki i zagięte rurki szklane — nawet żydzi z pod Rzeszowa wyglądają, jakby palili nargile, — mam ochotę pełną piersią krzyknąć: hosanna! Nareszcie! Europa po dziesięciu latach hysterji i szaleństw wraca do zdrowia. Zamiast się truć gazami i psuć powietrze „stinkbombami” zaczynamy poprostu leczyć chorego na żołądek pana Dawida Restrepo, dyplomate

z Paryża, zaczynamy kurować naszych mężów stanu i recenzentów teatralnych. I kto wie, czy skromna rzeczulka Ciepła i jej źródła, przesycone solą glauberską, która zmusza księdza katolickiego i rabina z Góry Kalwarii, księcia Radziwiłła i pannę Fanny Teitelbaum, kupca Quarantotto (Triest) i artystkę Piroską Szoelloesy (Peszt), aby co rano biegali od Mühlbrunnu do waterklozetu—czy, powiadam skromna, dobroczynna rzeczulka nie zdziałała dla sprawy pokoju więcej, niż rzeki atramentu i niż nawet ten smutny pochód, który tu niedawno—w fatalną rocznicę — z plakatami „Nie wieder Krieg” przez ulice ciągnął.

Niebywale świetny sezon w Karlsbadzie dowodzi, żeśmy się opamiętali... Trzydzieści pięć tysięcy ludzi z elity wszystkich krajów bierze na przeczyszczenie — zamiast się truć polityką.

UŚMIECH EUROPY

Według teorii Einsteina człowiek energiczny, wyruszywszy pewnego dnia w świat z kopyta — wszystko jedno, w którą stronę — jest po powrocie znacznie młodszy od otoczenia, od swoich rówieśników, niemrawych i zadomowionych. Mniejsza o to, jak tam ten paradoks naukowy rozumieć należy — faktem jest, że zawiera w sobie myśl głęboką i słuszną. Byłem miesiąc we Włoszech, mogę przysiąc, że wróciłem o pięć lat młodszy i nawet na granicy poprawiłem bez wahania odnośną cyfrę w paszporcie. Proszę mnie ścigać sądownie. *Je m'en fiche.*

W boskiej Italji nauczyłem się od męża stanu, p. Franciszka Nittiego, autora rozprawy *Europa senza pace* pewnej rzeczy, za którą mu będę szczerze wdzięczny aż do zgonu. „Jedno tylko nas uratować może od ruiny — mówi pięknie ów dyplomata (stronica V-a) — Europa musi się uśmiec h n ą ć!”

Brawo! — robię, co do mnie należy, uśmiecham się — nawet szerzej, niż na moją część wypada. Co tam, dobrze jest, jak jest, dziś-dziś-dziś i hop-sa-sa. Naprzykład:

W krótkiej podróży z Warszawy do Triestu mamy — jeżeli mnie pamięć nie myli — cztery granice, a ponieważ trzeba też wrócić do domu, więc osiem. Na każdej z tych granic dwaj panowie oglądają mój paszport, rzucają kilka aforyzmów w języku, którego nie mogłem się nauczyć, bo mi nie pozwolono wyjść z wagonu i przyłożywszy pieczęć: St. Ilj (więcej samogłosek ta stacja nie posiada) do mego „dowodu osobistego”, oddają mnie w ręce innych dwóch panów. Ci znowu żonglują moimi chustkami do nosa „z dziecinną radością ciągną za sznurek” starej piżamy, w nadziei, że jakiś „uśłyszą mazurek”, przyczem zadają pytania bez sensu: czy pan nie ma czasem za dużo pieniędzy?

Przez trzydzieści osiem lat życia nic mi się podobnego nie zdarzyło — raptem na St. Ilj miałyby mi się odmienić?

Pierwsza czwórka takich panów człowieka trochę irytuje, druga — czesko-austriacka — też, trzecia — austriacko-jugosłowiańska — jeszcze ociupinkę, ale już ósmą w Postumji witamy uśmiechem radosnym.

Istotnie, jest w tem jakaś podniosła, wielka idea, jakaś myśl, krzepiąca serce i ducha: szesnaście razy cztery, sześćdziesiąt cztery osoby poważne i dorosłe, żyją — chwalić Boga, — rodziny utrzymują tylko z tego, że oglądają dokładnie i skrupulatnie moje stare spodnie, wykonane ongi przez krawca, p. Szymczaka, w Warszawie przy ulicy Wspólnej.

Jeszcze bodaj kilka mocniejszych wysiłków,

jeszcze kilka rewizyj, jeszcze kilka St. Ilj (djabelnie mało samogłosek posiada to słowo, jak na stację węzłową), a wyzbędziemy się w Europie wszelkich kłopotów, co mówię, wszelkich kryzysów ekonomicznych. Małe pacholeta nasze będą sobie biegały wesoło po łąkach szmaragdowych i maczały stopy w ruczajach szumiących, podczas gdy my, ich ojcowie, śpiewając pieśni radosne przy zbożnej pracy, oglądać będziemy jedni drugim spodnie a kalesony, paszporty a dowody osobiste. Co kilka kroków stać będzie — hen, jak okiem sięgnąć — barak z sosnowego drzewa i w tym baraku schodzić się będą wieczorkiem Serb z Bułgarem, Rumun z Węgrem, d'Annunzio z Chorwatem, Grek z Turkiem, Czech z Niemcem i, gwarząc, a dogadując, rzeknie jeden do drugiego:

— Nie ma pan czasem za dużo pieniędzy?

Poczem się wszyscy rozbiorą do naga, jeden drugiemu — jak to między sąsiadami — kieszenie przetrząśnie, pieczętkę tu i owdzie przylepi, majtki ocli, kwitek wyda. Życ nie umierać.

Pamiętam, gdzieś pod Dziedzicami — wsiadł do naszego przedziału przystojny brunet w saku koloru czekoladowego. Był to — jak się okazało — Włoch, i to Neapolitańczyk, który też zupełnie poważnie i ze szczerem entuzjazmem twierdził przy każdej okazji, że *Kattowitz est très joli*. Widocznie krajobraz jest doprawdy stanem duszy i dobry interes w Katowicach wygląda piękniej, niż zachód słońca na Capri. Ale nie o słońcu chcę mówić, tylko o czem innem.

Już pod Piotrowicami kazano Włochowi oclić czekoladowy saczek po raz pierwszy. — Jak pan będzie wyjeżdżał tym wagonem z Czech, to panu pieniądze zwrócą. Należy się dwadzieścia koron czeskich.

W Lundenburgu obudzili nas znowu i oclili Włochowi saczek po raz drugi. — Przy wyjeździe z Austrii otrzyma pan pieniądze z powrotem. Należy się sto pięćdziesiąt tysięcy koron austriackich. — W miejscowości o pięknej nazwie Maribor ciągnęli Włocha znowu na komorę celną, ale zabrakło mu denarów serbskich i cierpliwości. Kapitulował i oddał czekoladową część garderoby republice S. H. S. na własność, dla celów reprezentacyjnych.

— *Corpo di Bacco!* — wołał — patrzcie państwo, nie dowiozłem! Wybrałem się z domu w to dżdżyste lato bez okrycia i odtąd się zaczyna moja martyrologja. Kupiłem jeden płaszczyk w Zagrzebiu, zabrali mi go w Arnoldsteinie, kupiłem drugi w Wiedniu — przechowują go w Bratisławie. Mam palto w Gliwicach, mam palto w Oderbergu, w Marmarosz-Sziget, w Gybengyoes, w miejscowościach, których ani ja, ani nikt z moich spadkobierców wymówić nie potrafi.

Cała mapa Europy jest mojemí paltami usiana i — stosownie do ostatniego dekretu Ligi Narodów — w razie sporów granicznych mój saczek decyduje o przynależności państwowej danego okręgu. Panie, to wszystko w epoce samolotów i radjotelefonu!

W czasach, kiedy Amerykanin wali sobie we-

solutko z New-Yorku do Frisco (odległość trzy razy większa, niż droga lądowa Lizbona — Odesa) bez pasportu, bez czternastu wiz, bez dwudziestu ośmiu rewizyj, bez szesnastu różnych gatunków papieru po kieszeniach.

Czy panu się nie zdaje, że tu ktoś z nas prosto zakpił? Że ten stary, solidny, poważny, podtatusiały, dawniej ogólnie szanowany kontynent, na którym żyjemy — raptem zdziecinniał? Że ta część świata zachowuje się, jak na swój wiek, nieprzyzwoicie?

Dość spojrzeć na oblicze starej Europy, na te tysiączne, filuterne, wesołe zmarszczki linii granicznych i kordonów policyjnych, na te drgające różowe plamki terenów spornych, na te latające, figlarne „muszki” okręgów wątpliwych!

Panie, to stare pudło się śmieje — od ucha do ucha...

DWIEŚCIE MILIGRAMÓW

Dzień był marcowy, pochmurny, wietrzny i nieprzyjemny. Lekarz posadził mnie na łóżku, przyłożył zimne ucho do moich obnażonych pleców, kazał mi wstrzymać oddech i liczyć szeptem od dziesięciu do dwudziestu. Potem zadał mi kilka pytań w sprawach rodzinnych, na które znów musiałem odpowiadać z zapartym oddechem, wreszcie opukał mnie nikłowym młoteczkim i rzekł:

— Powinien pan wyjechać na Południe. Na przykład do... Właściwie wszystko jedno, gdzie się pan ulokuje. Riviera, Sycylja... Co panu serce dyktuje. Może pan osiąść na Korsyce albo na wyspach Balearskich. Jeżeli pan woli natomiast Korfu, Kair albo Algier, to jako człowiek sumienny zaznaczyć muszę, że nic nie mam przeciwko takiemu kierunkowi podróży. Zgadzam się też chętnie na Malagę, San Sebastian i Gibraltar...

Otóż — byłem wtedy asystentem w F. i miałem sto pięćdziesiąt marek pensji miesięcznej. Dodajmy do tej sumy trzydzieści dziewięć stopni gorączki, która dziwnym trafem ogromnie podniecająco wpływa na moją elokwencję, a nie zdziwimy się wcale,

że odpowiedziałem temu człowiekowi uprzejmie, ale stanowczo w sposób następujący.

— Nie pojedę, doktorze, ani na Bermudy, ani do Pernambuco, ani do Kairu, ani na Formozę. Oczywiście tam, gdzie chodzi o zdrowie, nie dbam o wydatki, ale wstrzymują mnie pewne poważne względy natury, że tak powiem, moralnej: nie uznaję *turyzmu*, nie uznaję bezcelowej włóczęgi z kąta w kąt. Ilekroć widzę w jakim ciekawszym punkcie globu biuro Cooka, uchylam kapelusza. Ten człowiek oddał wielkie usługi ludzkości: to on obwozi dziwacznych obieżyświatów w dziwacznych koczobrykach, to on pokazuje im pałace dożów, rzeźby Michała Anioła, Kwirynały, kolumny Trajana, grobowce Luksoru. Bez Cooka prepadłby cały dorobek wieków i pokoleń, bo któżby te pomniki, wykopaliska i krajobrazy oglądał, gdyby mu ich przedstawiciel *Thos Cook's Tourist Office* palcem nie wskazał i w krótkim improwizowanym przemówieniu nie objaśnił? Uznaję to wszystko teoretycznie, ale praktycznie—nie umiem zwiedzać świata jako turysta i klient biura podróży. Nie umiem się szwendać z niefrasobliwą miną po morzach i kontynentach. Źle się czuję w roli Głupiego Augusta, który w cyrku przeszkadza poważnym ludziom w ustawieniu żelaznej klatki dla turystów, a w Rzymie napastuje zaaferowanych przechodniów, solidnych kupców, przemysłowców i męczy ich pytaniami, gdzie jest Forum i gdzie Via Appia. Jeżeli doktor mnie chce wysłać na Południe, to niech mi doktor wyszuka jakie zaję-

cie na Południu. Bardzo lubię słońce, uwielbiam słońce, ale nie mogę się wygrzewać w słońcu, że tak powiem, bezprawnie, jak próżniak i lazaron. Jestem fizykiem z zawodu. Jeżeli więc doktor wie o jakim lokalnem zaćmieniu — np. w okolicach zatoki Lionńskiej — udam się tam chętnie na koszt Rzplitej Francuskiej i będę badał *protuberancje*...

— Protuberancje? — rzekł doktor. Spoważniał i wziął mnie za puls.

Teraz znowu on liczył z zapartym oddechem:

— Osiemdziesiąt dwa... osiemdziesiąt sześć... dziewięćdziesiąt... Hm... Niech się pan okryje ciepło, niech pan nie wychodzi z domu. Ja tu jutro rano znów przyjdę.

Napisał coś na kartce, pogadał o czemś z jedyną służącą naszego pensjonatu i poszedł. Nie wiem, czem tak nastraszył Babetę (tak jej, niestety, było na imię), ale z rozszerzonych źrenic tej kobiety wywnioskowałem, że jestem stracony. Ha, trudno.

Połknąłem kilka pastylek od kaszlu, jałem porządkować papiery, drzeć stare listy... Nagle... dzwonek telefonu.

— Hallo? Co tam?

— Mówi Instytut Fizyczny... Mechanik Metzger... Pan profesor chce się w bardzo pilnej sprawie porozumieć z panem doktorem. Chwileczka! Przełączam telefon.

Aparat swoim zwyczajem zaterkotał przeraźliwie i po krótkiej pauzie, wypełnionej najdziwniejszymi dźwiękami, usłyszałem wreszcie głos mego

szefa, dyrektora laboratorium, profesora Wagemutha. Profesor Wagemuth miał głos bardzo dźwięczny, wykladał bowiem z największym zamiłowaniem — akustykę.

— To pan, panie doktorze? Sprawa jest tego rodzaju: czy nie zechciałby pan dziś wieczorem pojechać do Londynu?

— Do Londynu??!

— Do angielskiego Londynu?

— Do angielskiego. Miasto nasze, jak panu wiadomo, zakontraktowało dla szpitala trochę *radu* w *British Corporation*. W umowie zastrzeegliśmy sobie wyraźnie, że przed odesłaniem „towaru”, pošemy na miejsce, na koszt fabryki, komisję odbiorczą dla zbadania preparatu. Chodzi o ilość i o jakość. Do komisji miałem należeć ja i jeszcze ktoś. Ani ja, ani ten ktoś jechać nie możemy. Postanowiliśmy wysłać pana, doktorze.

— Bardzo dziękuję za zaszczyt, ale lekarz nie pozwala mi wychodzić z domu. Przytem — jak ja się tam z ludźmi porozumiem? Wielką Brytanię znam jedynie z geografji dla szkół średnich, a język angielski z „metody Berlitz”...

— Tu nie chodzi o topografię, ani o język. Trzeba zbadać, czy rad jest czysty i nie zawiera domieszki *mezotoru* tudzież czy w ampulce jest dwieście miligramów...

— Dwieście miligramów? Mezotor? Jakże ja to zbadam, profesorze?

To zajęcie dla chemika, nie dla fizyka!...

— Właściwie ma pan rację. Ale dziedzina jest

tak nowa, że chemicy—tak samo jak my—nie mają o niej pojęcia. Zatem zgoda, co? Po instrukcje, papiery, informacje zechce pan się zgłosić wprost do radnego miejskiego, mecenasa Mortona, ulica Kettenhofweg 15. Do widzenia. Wesolej podróży!

Trrr... trrr... dzyń-dzyń... pik-pik... Koniec!

Mecenas Morton przyjął mnie bardzo uprzejmie, poczęstował mnie cygarem, posadził mnie na fotelu.

— Błady pan jest trochę, doktorze? To nic. W podróży wszystkie dolegliwości miną. Nie wiem, jak pan, ale ja ogromnie lubię się wałęsać po świecie. Londyn! Mój Boże — City! Trafalgar Square! Piccadilly! Cieszy się pan, że pan jedzie? co?

— Ogromnie. Anglja to kraj moich marzeń. Każdy z nas, mecenasie, ma taki swój własny biegun magnetyczny na ziemi, taki punkt, który... Ale, jeżeli mam prawdę powiedzieć, teraz właśnie...

— Rozumiem. Był pan kiedy w Anglii?

— Nie.

— A jak pan znosi podróż morską?

— Nie wiem. Morze widziałem w Zandforcie i w Sopocie. Znamy się z oceanem tylko z widzenia, cenimy się nawzajem bardzo, ale byliśmy dotąd na stopie, że tak powiem, ceremonjalnej...

— Hm... Pan, zdaje się, ma jeszcze lekką gorączkę?

— Owszem, mecenasie. Trzydzieści dziewięć... I dlatego właśnie...

— To minie. To wszystko minie. W Londynie

powinien pan stanąć w pensjonacie, Boarding House, w pobliżu *Victoria Station*. Stamtąd niech pan telefonuje do British Radium Co, dyrektorem jest pan Smith. Proszę go pozdrowić ode mnie. Tubkę, po dokonaniu pomiarów, złożą panowie w filii Deutsche Bank, London City. Proszę — tu są listy, papiery, czek. Niech pan sobie w drodze niczego nie odmawia, jest pan delegatem miasta F. Niech nas pan nie oszczędza! Polecam panu zwłaszcza to pudełeczko. Zawiera świetne pigułki, które podobno chronią od choroby morskiej. Kanał to niby nic, cieśninę Kaletańską przejedzie pan przez trzy kwadransy, a jednak... Bywają tam burze, dla których najstarsi marynarze mają respekt. Do widzenia. Przyjemnej podróży...

Burze? Pigułki?

— Przepraszam pana, panie mecenasie — rzekłem drżącym głosem — jedno pytanie?

— Słucham?

— Czy nie możnaby tej podróży odłożyć? Głównie zaś — czy nie mógłby pojechać kto inny? Nie wiem, czy panu wiadomo, że ja poświęciłem się zjawiskom optycznym... Promieniotwórczość, a zwłaszcza fabrykacja radu to dziedzina, którą znam nieco powierzchownie... nawet bardzo powierzchownie. Między nami mówiąc — wcale jej nie znam...

— Poradzi pan sobie, doktorze. Głupstwo!

— Poradzę sobie?... Skoro pan mecenas jest tego pewien... I jeszcze jedno pytanie...

— Słucham?

— W razie, gdyby mi się coś nie udało... Nie

chciałbym nikogo narażać na straty... Słowem: jaka jest wartość tej tub... tej tub... tej ampułki?

— Wartość tubki?

Mecenas zajrzał do skoroszytu, przerzucił, pogwizdując wesoło, kilka kartek, wykonał srebrnym ołóweczkiem kilka działań arytmetycznych i rzekł spokojnie:

— Trzydzieści tysięcy dolarów.

— Boże, bądź miłościw... Trzydzieści tysięcy dolarów!!

.
Wyszedłem na ulicę, objąłem ramieniem tęgi słup łukowej lampy elektrycznej, a jednak poważne, trzypiętrowe, solidne kamienice na Kettenhofwegu chwiały się i falowały przede mną, jak zwiewne mgiełki poranne...

Tak. Teraz mogę z czystym sumieniem sięść do wagonu, mogę śmiało spojrzeć w oczy towarzyszom podróży, konduktorom kolejowym, celnikom, majtkom okrętowym, lwom na Trafalgar-skwerze. Nie jestem turystą od Cooka, zblazowanym próżniakiem, obieżyświatem, włóczykiem, zawalidrogą i gapiem, który sprawdza podług spisu inwentarza, czy nic się od czasów Baedekera na ziemi nie zmieniło. Jadę do Londynu, do metropolji świata, do największego miasta na tym globie, ale wiem *poco* jadę! *Po tubkę*. Zstępuję do czeluści piekielnej, wciskam się natrętnie w największe mrowisko, jakie wieki i pokolenia usypały na tej planecie, ale jeżeli mnie kto na Regent Street, nad Tamizą albo w Hyde-Parku zaczepi i powie mi gburowato:

czego się pan tu pęta i porządnym ludziom w pracy przeszkadza? odpowiem mu, dumnie podnosząc głowę: przyjechałem po tubkę! Obejrzę Opactwo Westminsterkie, oczywiście, dlaczegożby nie? Ale, patrząc na ten cudowny poemat z kamienia, nie będę miał głupiej miny znudzonego gościa hotelowego. Stanę w obliczu cudownej rzeźbionej legendy wieków, zdejmę kapelusz i powiem: „przepraszam, ja tu też mam pewną rację bytu na tym gruncie historycznym! Wysłano mnie po tubkę”. A gdybym nocną porą spotkał na Westminster Bridge cień wielkiego Szekspira — ha! to i wtedy się nie ulęknę. Na pytanie: Werda? Coś zacz? Ktoś jest, mdły cudzoziemcze? Jakiem prawem, skąd i poco przybywasz? odrzeknę, tchu nabrawszy w płuca: za pozwoleniem Waszej Prześwietności przybyłem po tubkę.

To są, oczywiście, świetne racje, ale tworzą, niestety, *jedną* stronę medalu. Ta druga wygląda znacznie gorzej. Siedem milionów ludzi, czyha tam na mnie, na granicy hrabstw Essex, Middlesex, Surrey i Kent! Cała — najświetniejsza bodaj — literatura kryminalna opowiada dreszcz i zgrogę budzące, niesamowite historie o norach Whitechapel'u, o palarniach opium, o tajemniczych szynkowniach w okolicy Tower Bridge, o niewykrytych, zagadkowych zbrodniach... Jakże to ja, biedne, miotane gorączką chuchro, wydobędę z tych odmętów grzechu ampułkę, która — przypuszczalnie — jest niewiele większa i tylko ociupinkę grubsza od normalnej zapalki Łapszyna? Jakim cudem uratuję

życie własne i zabezpieczę ją — tubkę! — od domieszki mezotoru? Zupelnie, jakby mi kto powiedział: panie, zgubiłem niedawno w Afryce między Tripoli i Transvaalem szpilkę pojedynczą, — będzie ją pan łaskaw odszukać. Tylko niech pan uważa, bo tam są i inne szpilki. Niech się pan nie omyli.

Nadomiar złego ów przeklęty obiekt wart jest — trzydzieści tysięcy dolarów. Gdybym tę sumę chciał miastu F. moją pensją asystencką spłacić, musiałbym tu, żywiąc się korzonkami i korą drzewną, pracować za darmo przez lat sześćdziesiąt pięć... Nawet umrzeć mi nie dadzą przed uiszczeniem ostatniej raty, bo tubka jest przecie własnością szpitala miejskiego. A lekarze, jak się uwezmą...

.....

Prawdę ludzie mówią, twierdząc, że strach ma wielkie oczy. Każdy szczegół tej podróży, każdą kłamkę wagonu, każdą twarz konduktora pamiętam, widzę wyraźnie i teraz jeszcze, po tylu latach. Na pokładzie statku Calais-Dover ulokowałem się tuż pod środkowym kominem okrętowym. Nie jadłem nic, nie zmrużyłem oka. Liczyłem sekundy, łykałem pigułki mecenasa Mortona, stałem nieruchomo, wpatrzony w ciemną noc, w atramentowe fale Atlantyku. Reflektory statku wbijały w czarną przestrzeń dwa potężne słupy świetlne i, podpierając się niemi, jak szczudłami, brnęły przez to *mare tenebrarum*. Słyszać było pluskotanie śruby i rytmiczny oddech maszyn.

O godzinie pierwszej po północy syrena, umieszczona akurat na *moim* kominie, tuż nad moją sko-

łatana głową, ryknęła okropnie, jak zarzynane bydło, wielokropek świateł zamigotał na horyzoncie, oba jasne słupy reflektora pobiegły wdał, jak wyciągnięte na powitanie ramiona...

— Dover! — zameldował mi uprzejmie któryś z marynarzy, litując się widocznie nad wystraszo-
nym szczurem lądowym. — Old merry England!
Przybijamy do brzegu.

...I tak się zaczął moment bodaj najdziwniej-
szy mojej kariery naukowej. Wstawałem raniutko,
o ósmej, pożerałem w pensjonacie owsiany „por-
ridge”, wynajmowałem na koszt magistratu f-ckiego
somochód i przerzynałem lotem strzały wpoprzek
największe miasto globu, mijałem Hydepark, Heigh
Holborn, gwarną City, tratowałem ludzi na mostach,
przeszywałem wskoś Finsburg, Hoxton, żeby wylą-
dować hen, na krańcach, za Whitechapel Road.
Tu w dzielnicy najuboższej Londynu, przypominają-
cej nieco naszą Tamkę, Solec albo Targówek
gnieździła się fabryka British Radium Co, i tu —
w niedostępnem sanctissimum tych zakładów, w par-
terowym domku murowanym królował wysoki, jasno-
włosy, bladooki H. J. Wilson, chemik. Witiał mnie
zawsze jakimś uroczystym, wschodnim ukłonem,
przykładał dłoń do serca i do czoła, pochylając
głowę i zapraszał do wnętrza, poczem natychmiast
zabieraliśmy się do pracy. Obiektem naszych wy-
siłków była szczypta białego, niebieskiego, fosfory-
zującego proszku, umieszczona starannie na małym
szkiełku od zegarka i nad tym niuchem tabaki ślę-

czeli dwaj dorośli ludzie od rana do późnego wieczora, obaj przejęci obawą i lękiem, że im się przez nieuwagę jakiś atom niesforny, jakaś drobina frywolna wymknie i zagubi. „Niuch tabaki” trzeba było zamienić najpierw na bromek, później na chlorek, później znowu na bromek, za każdym razem ważąc ową nikłą szczyptę na precyzyjnej, dziesięciotysięczne części miligrama wykazującej wadze.

Wszystkie rękoczyny wykonywał pocziwy, bladooki H. J. Wilson, a ja obserwowałem go, jak opryszka i zawodowego oszusta. Sprawdzałem ciężarki na jego wadze, kazałem mu dyktować cyfry, które sam, osobiście, mnożyłem i dzieliłem. W południe zasiadaliśmy w najlepszej komitywie do stołu i dzieliliśmy się bułkami z szynką i butelką piwa. Po skromnym „lunchu” pocziwy Wilson znów był opryskiem i oczajduszą i wił się pod karzącym okiem sprawiedliwości. Wieczorem zamykaliśmy szkiełko razem z niuchem niebieskiej tabaki w pancernej kasie ogniotrwałej, którą — dla pewności — pieczętowałem czerwonym lakiem odciskając na nim mój kluczyk od walizki.

Po czterech dniach wytężonej pracy strzeliste wieże Opactwa Westminsterkiego, domy na Oxford Circus, barki na Tamizie, żydzi z Whitechapelu, wykwintni panowie z Leicester Square, kontury wszystkich gmachów, wehikułów i ludzi świeciły dla mnie — nocną porą zwłaszcza — światłem bladoniebieskiem, przypominającym bromek radu.

Nareszcie dnia piątego — w południe — uściskałem serdecznie dłoń zacnego bladookiego Wilsona,

wsiadłem z dyrektorem Smithem do samochodu i ruszyliśmy w stronę City, przyczem każdy z nas trzymał pieczołowicie i ostrożnie za jeden koniec niewielką rurkę szklaną, opatrzoną znakami *BWBrL*, wydrapanymi pracowicie na szkłe.

W godzinę później depeszowałem do F. lakonicznie:

Profesor Wagemuth. Instytut fizyczny. Tubka zawiera 199 miligramów bromku radu. Znak na szkłe BWBrL.

Taki sam telegram wysłałem do mecensa Mortona, z tym dodatkiem jedynie, że ampulkę wręczyłem, stosownie do instrukcji, dyrektorowi D-Banku w City i misję swoją uważam za skończoną.

Poczem lekki, jak piórko, udałem się w stronę High Holborn, do biura *Cooka!*

— Pani! — rzekłem do urzędnika, który się nudził w pustym lokalu za ladą, — jadąc tu, do Londynu, nie widziałem morza! Przeżycia natury osobistej pochłonęły mnie całkowicie i nie miałem czasu na kontemplację. Na pańskim progu przyszedłem czołem uderzyć!... Niech mi pan ułoży marszrutę powrotną. Teraz już mogę podróżować, jak globe-trotter i turysta — mam prawo moralne! Proszę o ocean! Dużo oceanu, jak najwięcej oceanu, i w dzień, jeżeli łaska, bo w nocy nic nie widać.

Urzędnik spojrział przez szybę na zachmurzone niebo nad Holborn Street, na podejrzane mgiełki, wałęsające się między domami:

— Pan chce jechać *jutro?*

— Tak jest. Jutro.

- Na kontynent?
- Na kontynent.
- Hm. I nie może pan tej podróży odłożyć?
- Nie mogę.

Jał szperać po księgach i przewodnikach.

— Wyjedzie pan jutro rano o 9.15 z Charing Cross. Na statek siądzie pan w Queenborough, przetnie pan morze Północne po linii Queenborough-Vliessingen — sześć godzin! — tam na pana będzie czekał pociąg pośpieszny Rotterdam-Haga-Amsterdam. Stamtąd uda się pan przez Bruksellę, Luksemburg, Düsseldorf... do Moguncji. To jest droga okólna, zajmująca, a przytem nie o wiele kosztowniejsza od bezpośredniej...

Wręczył mi grubą paczkę biletów kolejowych, zainkasował pieniądze, ale wciąż jeszcze przyglądał mi się ciekawie.

Nazajutrz o ósmej portjer hotelowy ładował moją walizkę do samochodu, spozierał raz po raz na londyńskie niebo i widziałem, że go coś gnębi.

— Dokąd szofer ma jechać? — rzekł wreszcie.

— Stacja Charing Cross. Pociąg 9.15, Londyn-Queenborough.

— Pan się *dziś* udaje na kontynent?

— Na kontynent.

Portjer zainkasował napiwek, zdjął czapkę, ale wciąż jeszcze przyglądał mi się ciekawie.

Na stacji Charing Cross — ta sama historia.

— Czy mogę zabrać tę walizkę do wagonu? — pytam tragarza — 9.15?

— A to pan *dziś* jedzie na kontynent?

— Na kontynent.

— Może pan zabrać trzy walizki do wagonu. Nikomu to zawadzać nie będzie, bo pasażerów wcale niema.

Dziwne. W Queenborough, w przystani, telepie się na sznurach kotwicznych mały parowiec holenderski. Marynarze ładują pośpiesznie duże drewniane skrzynie, owinięte rogożą tłomoki, olbrzymie paki, małe paczuszki, ale pasażerów można policzyć na palcach. Jakiś nieduży rudy chłopak z aparatem fotograficznym. Jakaś „fräulein”, która już na ławeczce okrętowej pisze „ukłony i pozdrowienia” na kolorowanych pocztówkach z widokami. Jakaś wykwintna angielska dama — i ta jest bodaj najbardziej niepokojąca. Wymierza statek krokami, odnalazła oś geometryczną i na tej osi, ściśle pośrodku, rozkłada pledy, poduszki, kołdry, koce, poczem — nim jeszcze nasz poczcuiwy „Willem van Oranje” zdążył odsapnąć, kładzie się na podściółce betów nieruchomo, nawznak i patrzy w stałowe, groźne niebo, wyprostowana, sztywna, jak mumja egipska.

Marynarze cicho, bez słowa, wciągają liny i łańcuchy na pokład. „Willem” gwizdże i poważnie, majestatycznie, spokojnie sunąć zaczyna wzdłuż brzegu.

— Radziłbym panu coś zjeść *przedtem*—szepce mi na ucho, ni stąd ni zowąd, steward okrętowy. —A możeby buteleczkę wina czerwonego?

Dziwny człowiek. Traktuje mnie tak, jakbym był beznadziejnie chory, a ja się czuję świetnie.

Wszyscy się czujemy świetnie. Rudy chłopak szczeniococe wesoło, fotografuje majtków, doki, łódki rybackie, panienkę, piszącą pocztówki. Angielska lady patrzy w przestrzeń i nawet zlekka uśmiecha się. „Willem van Oranje” żegna ostatniem szarmantkiem gwizdnięciem port angielski, wykonywa zgrabny półobrót taneczny i nastawia dziób na pełne morze...

Co to?! Dziwnym trafem ten mocny, solidny, żelazny dziób „Willema”, który przed chwilą — przysiągłbym na to — widziałem przed sobą na linii poziomej, raptem buja nade mną na wysokości drugiego piętra. Trwa to zresztą zaledwie kilka sekund, bo — hoplal! — w mgnieniu oka dziób gdzieś znika w głębokim dole, a natomiast wyskakuje na kilkadziesiąt metrów w górę tył naszego figlarnego „Willema”. Przez czas pewien jestem tak zwanym „zegarem” huśtawki dziecięcej, na której się bujają dwaj dorośli rozkraczeni marynarze: jeden stoi przy sterze i jedzie właśnie z szalonym impetem nadół, drugi — na przeciwnym końcu pokładu — unosi się teraz w powietrze, jak „córa Renu” z opery Wagnera. Po chwili — wbrew wszelkim regułom tej zabawy — nawet „zegar” przestaje być punktem nieruchomym. Cały „Willem”, stękając i trzeszcząc, winduje się wolno, wolniutko pod górę, na trzecie piętro i — bums! — leci wdół na łeb, na szyję, ze wszystkich schodów. I znowu biedaczysko gramoli się, jak stary emeryt, na jakiś czwartak i znów — łomot! — leży na poziomie piwnicy. Niezrażony tem niepowodzeniem wtacza sta-

ry kadłub z uporczywością pijaka na strych i—
ryms!—wali na podwórko; podźwignąwszy się na-
tychmiast i otrząsnąwszy lekko, wchodzi, schodek
po schodku na wieżę ratuszową i—bęć!—spada na
bruk uliczny... Za każdym razem—muszę, niestety,
brać udział w tych perypetjach—serce mi w pier-
siach bić przestaje... Zupełnie jakbym jechał win-
dą, której sznury stale na wysokości czwartego
piętra się obrywają...

Patrzę na moich towarzyszków podróży: rudy
chłopak już nie robi zdjęć, sam jest pięknym te-
matem dla fotografa, oparł bowiem znużone czoło
o kant aparatu i...

Niemiecka „fräulein” rozsypała kolorowe karty
pocztowe i, wtuliwszy głowę w torbę podróżną...

Nawet poważna lady angielska z wyżyny swo-
ich koców... O Boże! oto są widoki, na które się
zaabonowałem u Cooka i tak — w ustawicznych
wzlotach i upadkach—kuszytykać będę razem z ku-
ternogą „Willemem” przez sześć bitych godzin...
Sam tego chciałem...

Krótko mówiąc, miasto F. zyskało dwieście mi-
ligramów radu, ale ja, rad nierad, straciłem dla
wyrównania rachunku ze trzy i pół kilo. Myślę, iż
los mnie pokarał za to, że sprzeniewierzyłem się
własnym zasadom i kupiłem bilet okólny. Niema
widać we mnie materiału na turystę. I to, oczy-
wiście, takie stare wygi, jak ocean Atlantycki
i wicher Północny, zmiarkowały odrazu.

F A M A

B A J K A

W chłodny, słoneczny, suchy dzień grudniowy kroczył przez gwarne ulice Londynu wielbłąd—dromader. Jego cienka szyja, przyczepiona do niekształtnego kadłuba, jak gryf do pudła basetli, górowała dumnie nad tłumem, jego wąskie zamgłone oczy patrzyły marząco wdał. Cizba ludzi falowała u nóg jego, groźne ryki trąbek samochodowych rozlegały się wokół, ale on nie zwracał na to uwagi. Szedł wyniosły, dumny i tylko chwilami ruszał pogardliwie zaślinionemi wargami: „rozstap się, nędzny tłumie,—ja idę”.

Nie myślcie, że ta wzorzysta dera, okrywająca jego wyliniały kadłub, była powodem tej dumy. Nie.

Przyczyna leżała głębiej. Do prawego przedniego kopyta przyczepiono mu oto dziś rano pieczętkę gumową z napisem: „Pears soap” — „mydło Pearsa” i korab pustyni, krocząc przez Regent-Street w stronę Trafalgar-skweru, odbijał te słowa na asfalcie ulicy. I to go napawało dumą.

Albowiem, idąc, *nie mijał bez śladu*. O nie! Pozostawiał po sobie długi szereg drukowanych liter:

Pears soap.

Pears soap.

Pears soap...

Na rogu Piccadilly ktoś mu zatarasował drogę. Był to jego dawny kolega z wędrownego cyrku—osioł Jack.

— Hallo, Harry!—ucieszył się osioł. Dawno cię nie widziałem, przyjacielu, co porabiasz? Haw-do-You do? ça va la petite santé? Wie geht's?

Dromader zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

— Nastąp się! — rzekł zwolna. — Zejdź z drogi. I nie mów do mnie. Czyż nie widzisz, że mi przeszkadzasz?

— W czym? zdziwił się osioł.

Wielbłąd majestatycznym ruchem ogona wskazał wtył, poza siebie, na długi szereg liter...

— W pracy literackiej!—odrzekł.—To wszystko tam wyszło z pod mego kopyta. Odsuń się albowiem, jak widzisz, jestem dziś w natchnieniu.

I to mówiąc, ruszył dalej w stronę Trafalgar-skweru dumny, pogardliwy, wyniosły, a za każdym jego stąpieniem nowe „Pears soap” zwiększało olbrzymią litanie.

Osioł stał jak wryty, spoglądał na znikający w oddali ogon przyjaciela, to znów na długi szereg drukowanych słów.

— Szczęśliwe bydlę!—westchnął wreszcie.—Pozostawia po sobie ślad. Przejdzie do potomności... Że też to mnie Pan Bóg nie dał literackiego talentu...

I westchnął raz jeszcze głęboko.

S Ł A W A

Rabbi Joszua Ben Cwi, Rabbi Jezechjel i Rabbi Ben Akiba szli ku domowi.

Tego dnia dysputowano gorąco w świątyni. Kto patrzył uważnie, mógł to dojrzeć odrazu. Rabbi Joszua Ben Cwi, Rabbi Jezechjel i Rabbi Ben Akiba mieli rumieńce na bladych twarzach. Przechodnie patrzyli uważnie i widzieli rumieńce na twarzach i kłaniali się w pas, ze czcią i szacunkiem. Któżby ich nie znał trzech mężów świątlych, trzech słońc Syjonu? Gdzie niegdzie tylko — zrzadka — pouczał ktoś w tłumie szeptem ciekawego przybysza:

— Rabbi Joszua Ben Cwi! Rabbi Jezechjel! Rabbi Ben Akiba! Musiała dziś być wielka dysputa w świątyni!

Tak szli trzej mężowie — a było, jakby trzy słońca naraz wzeszły nad miastem. Trzej mężowie szli wolno, ale ręce ich i palce wykonywały ruchy szybkie, błyskawiczne, goniąc za lotną myślą. I rumieńce nie znikwały z ich twarzy. Była dziś bowiem wielka dysputa w świątyni. Rozstrząsano to miejsce Pisma, gdzie powiedziane jest: kto na własnym albo na publicznym gruncie wykopie dół, więcej

niż na siedem stóp głęboki i przykryje go niedostatecznie, obowiązany jest bliźniemu swemu wszelką krzywdę na zdrowiu albo na bydłęciu, która przez wpadnięcie do tego dołu wyniknie — wynagrodzić.

Wszystkie sławy judaizmu były zebrane. Świątynia wyglądała jak firmament. Dysputowano.

Rabbi Joszua Ben Cwi pytał: Czy przez krzywdę należy rozumieć kalectwo czy śmierć?

— Kalectwo.

— Czy jeżeli wół wpada do dołu, który ma nie siedem ale pięć stóp głębokości, czy ten wół może złamać nogę?

— Może.

Dlaczego więc Pismo chce, żeby dół miał koniecznie siedem stóp? Rabbi Samuel rzekł: Ja wam co powiem. Należy wynagradzać kalectwo i śmierć. Dół na pięć stóp głęboki może spowodować kalectwo. Dół na siedem stóp głęboki kalectwo — albo śmierć.

Rabbi Joszua Ben Cwi pytał: Czy dół na siedem stóp głęboki wystarcza, aby spowodować śmierć? — Wystarcza. Dlaczego więc rowy dla kamienowanych muszą być na dwanaście stóp głębokie?

Rabbi Ben Akiba rzekł: Albowiem powiedziano jest: kochaj bliźniego twego i staraj się dla niego o lekką śmierć.

Rabi Joszua Ben Cwi pytał: jeżeli ów, który dół wykopał, wynagrodzi śmierć, to do kogo ma należeć zdechły wół?

Tak rozważano przez cały dzień.

Najbardziej się wyróżnił Rabbi Joszua Ben Cwi.

Jeszcze i teraz powstawały w nim myśli, któremi mógłby poćwiartować przeciwników.

Ale im dalej szli trzej mężowie, tem bardziej spokój letniego wieczoru w nich wsiąkał.

Na drodze spotykali coraz więcej ludzi. Tłum chylił się przed nimi, jak chyli się trawa pod wiatrem. W odpowiedzi kiwali trzej mężowie niekiedy — ale zrzadka — głowami.

Aż nagle Rabbi Jezechjel, który był z nich najmłodszy, rzekł: — Rabbunem, przychodzi mi myśl jedna do głowy! Widzicie ten tłum, jak się chyli przed nami? To prawda czynimy rzeczy wielkie, tłumaczymy Pismo. Ale chciałbym was o coś spytać, rabbunem!

Czy nie jest możliwe, że za lat pięćdziesiąt, albo za lat tysiąc, ten tłum powie: Rabbi Jezechjel? Rabbi Joszua? Tysiąc razy ważniejszą rzeczą jest wiedzieć, jak żdźbło trawy wygląda w środku, niż co w ich tysiącu księgach stoi.

Patrzcie jak oni się nam pokornie kłaniają.

Ale czy nie jest możliwe, rabbunem, że za lat pięćdziesiąt, albo za lat tysiąc jaką wielką trąbę wynajdą i przed tym, co najlepiej zagra na tej trąbie, w proch padną jak teraz przed nami? I jak teraz pokazują nas dzieciom, tak kiedyś pokazywać będą: Patrzcie! to jest wielki Hebes, ulepił z gliny krowę, która wygląda jak żywa! Albo: tam idzie wielki Behajmes, znalazł pięćset słów i co drugie to ma tę samą końcówkę. To bardzo wielki człowiek jest! I pytam was, rabbunem, czy nie jest możliwe, że ci sami ludzie śmiać się z nas będą.

Ze mnie i z was, Rabbi Joszua, i z was, Rabbi Ben Akiba. I z nas, i z naszych prac, i z naszych dysput, i z naszych ksiąg!

— Co wy powiadacie na to? — oburzył się Rabbi Joszua. Wielka trąba? Człowiek, który ulepił krowę? Co kto mówi na to? Słowa z tą samą końcówką? Wiele rzeczy już było, ale żeby wszyscy ludzie naraz rozum stracili, tego jeszcze nie było! Wielki Hebes? Wielki Behajmes? *My wykładamy Pismo, my* —... Mówcie wy, Rabbi Ben Akiba! Ja nie mogę! To są niesłychane rzeczy!

Ale Rabbi ben Akiba milczał.

Poprawił nieco zawój. Podrapał się za uchem.
I widać było, że się uśmiecha.

JUBILEUSZ

Jutro, dnia 29 lutego 2020 roku, my, a z nami cały świat cywilizowany, obchodzić będziemy setną rocznicę urodzin genialnego mistrza tonów, a zarazem naszego rodaka, Cecyla Tylko.

Jest rzeczą słuszną, abyśmy w tym dniu uroczystym przypomnieli czytelnikom kilka faktów z życia wielkiego muzyka, którego imię złotemi głoskami wyryte jest w dziejach kultury.

Cecyl Tylko ujrzał światło dzienne w Warszawie, na Krakowskim Przedmieściu, w zamożnym domu bankierskim.

Już w latach młodocianych wyróżniał się dużą baloniastą głową, odstającymi uszami i absolutnym brakiem słuchu.

Rodzice postanowili go też pchnąć na drogę artystyczną. Zwłaszcza matka Cecyla, Heloiza z Oficynerów, osoba nader wrażliwa na piękno i słynna w swoim czasie z czarnej kawy, którą zwykła była raz na tydzień ofiarowywać w swoim domu gratis znanym muzykom warszawskim, — rada była widzieć w jedynaku przyszłego wirtuoza.

Wirtuozami nazywano wtedy ludzi, którzy zastępowali ogólnie dziś do produkowania dźwięków

używane automaty muzyczne. Ludzie ci różnili się bardzo od zwykłych śmiertelników, — nosili długie, rzadko kiedy czesane włosy, obgryzali paznokcie i palcowali całymi dniami po klawiaturach, traktując to jako swój fach i powołanie, mimo to jednak nie wzbudzali we współczesnych pogardy. Przeciwnie, cieszyli się uznaniem, nazywano ich artystami i oklaskiwano na koncertach tudzież tym podobnych zbiegowiskach publicznych.

Takim właśnie wirtuozom oddano na naukę młodego Cecyla. Niestety! po długich latach mozolnej pracy młody Tylko zaawansował tylko o tyle, że umiał wskazującym palcem prawej ręki wygrać na instrumencie zwanym podówczas fortepianem, jeden jedyny utwór poważniejszy: „La Matchiche”. Matka Cecyla, Heloiza z Oficynierów, była niepokieszona i głęboko zmartwiona tym smutnym faktem.

— Mój syn nie jest muzykalny! mówiła — mój syn nie umie grać na fortepianie.

Ale jej mąż, H. Tylko, uśmiechał się tylko pod wąsem. — Co jest? Nie umie grać na fortepianie, to mu kupię pianolę. Nie umie ręką, to będzie grał nogą!

I tu zaszedł fakt wiekopomny, po wsze czasy zanotowany w dziejach muzyki: młodociany Cecyl dostał pianolę!

Był to instrument, jak na owe czasy, zbudowany wcale zmyślnie. Nuty — szereg dziurek w ceracie, umieszczano w pudle pianina, wprawiano w ruch zapomocą nóg własnych albo elektryczności pewien walek, poczem ów klawicymbał grał.

Zasada, jak widzimy, bardzo podobna do tej, którą dziś w naszych, ogólnie przyjętych automatach muzycznych stosujemy.

Podówczas takie automaty nie cieszyły się uznaniem. Ludzie samograjacy-pianiści, o których wyżej była mowa, obawiając się, że chleb stracą, rzucili na wszelkie pianole pewne odjum — i publiczność nie miała odwagi być innego zdania, niż oni. Wyobrazić też sobie możemy, z jakim politowaniem patrzano w domu państwa Tylków na młodego Cecyla, który nie posiadał dość długich palców u rąk i przeto musiał grać na pianoli!

A młodociany Cecyl nie zważał i grał. A zwłaszcza badał nuty. Bo w muzyce interesowały go właśnie najbardziej dziurki w nutach.

Studjował pilnie figury i linje, jakie tworzą, rysował kombinacje, które się powtarzały najczęściej. Aż wreszcie z tych prób i igraszek dziecięcych wyłoniła się myśl, której zawdzięczamy całą naszą muzykę współczesną.

Myśl, że te szeregi i figury nie są zupełnie dowolne, ale że mają pewien rysunek, pewne cechy, które się powtarzają wszędzie — w symfoniach jak i w „polkach w szafliku”.

Myśl, że z tych nut można odcyfrować naszą estetykę, odnaleźć analitycznie te kombinacje, które wywołują hałas dla naszych uszu przyjemny.

Myśl wreszcie, że wystarczy kilka dni prób, aby wytworzyć taki szereg dziur w całym, który, puszczony w ruch obrotowy na wałku pianoli, wywo-

ływać będzie najpiękniejszy i najbardziej natchniony harmider.

Wydaje się nam to wszystko takie jasne i proste, że nawet zrozumieć nie możemy, czemu praojcowie nasi nie wpadli wcześniej na pomysł odcyfrowania własnych nut muzycznych! Ale wszystkie wielkie odkrycia wydają się łatwe, gdy zostały dokonane.

Tak było z jajem Kolumba i z ruchomymi literami Gutenberga, tak było i z wielkim wynalazkiem Tylki!

Nie umniejsza to zasługi naszego genialnego rodaka. Był to pierwszy człowiek, który odkrył wielką tajemnicę nut i pierwszy, który nietylko dowiódł, że muzykę można tworzyć naukowo, ale który *naukowo komponował*.

W roku 1951 Cecyl Tylko, chwyciwszy z przedpokoju chodnik z linoleum, wyrznął w nim szereg dziur, które stanowią najpiękniejszą kompozycję owych czasów.

Chodnik ten, przechowywany obecnie w Muzeum Narodowym, od razu zyskał szalone powodzenie i zagłuszył wszystkich Strausów i ich Elektry!

W teatrach i kawiarniach, w salonach i na ulicach nie grano nic innego, jeno chodnik Cecyla Tylki!

A to był początek zaledwie! Ogłoszona wkrótce potem metoda naukowa kompozycji wywołała przewrót w ówczesnym życiu kulturalnym, przewrót, którego dziś sobie nawet wyobrazić dobrze nie możemy. Jednym zamachem przeszła muzyka z rąk długowłosych *natchnionych* mistrzów, w ręce fabrykantów. Kilka prób wedle danego schematu i walc

był gotów, kilka prób według innego — i powsta-
wała opera lub operetka!

Coby powiedzieli nasi praojcowie, zwolennicy
„natchnienia”, gdyby ujrzeni nasz dzisiejszy *przemysł*,
nasze wielkie fabryki muzyczne! Nową muzykę do
operetki, za którą dawniej płacono miliony franków,
możemy dziś dostać za markę fenigów dwadzieścia.

Skomponowania „Elektry” podejmie się każdy
nasz Strauss współczesny, za półtorej marki.

„Pierścień Nibelunga”, piękniejszy stokroć od
oryginału, napisze każdy fabrykant w ciągu dwu dni,
o ile go niema na składzie...

Coby powiedzieli poeci czasów ubiegłych, gdy-
by się dowiedzieli, że do miliona oper i operetek,
które produkuje co godzina nasz przemysł krajowy,
brak nam oddawna tekstów drukowanych, choćby
najgłupszych! Że musimy śpiewać nasze pisma co-
dzienne, nasze jadłospisy, nasze pudełka od papie-
rosów?! Nasze mowy parlamentarne!

Coby powiedzieli sprawozdawcy operowi, gdy-
by im oznajmiono, że słyszeć mogą codzień tysiąc
różnych premier i pisać o nich recenzje?!

To wszystko jednak stało się faktem. A fakt ten
zawdzięczamy genialnemu Cecylowi Tylko!

Zaprawdę, wołaćby należało: „Niech żyje Cecyl
Tylko”! gdyby nie to, że Cecyl Tylko już nie żyje...

Przy okazji przypominamy, że czas odnowić pre-
numeratę.

HISTORJA CYWILIZACJI

CZYLI

KOSZYK NA MARSZAŁKOWSKIEJ

Razu pewnego — w powietrzu czuć było wiosnę i dzień był słoneczny — w koszyku, umieszczonym pod uliczną latarnią, leżeli sobie spokojnie Emil Zola obok Klementyny z Tańskich Hoffmannowej. I ten sam bukinista (nazwijmy tak, dzieciно, człowieka w kubraku, który staremi książkami kupczy) zachwalał niedobraną parę przechodniom, wykrzykując chrapliwym głosem, ile są warci i co dla ludzkości zdziałali. Aliści przechodnie, jak to już ich nazwa wskazuje, przechodzili obok kosza obojętnie. Bo i czemu, dzieciно, jest nasz dorobek kulturalny, wobec bułki pszennej, czym Zola wobec kajzerki?

— A widzisz! — rzekła Klementyna do Emila Zoli. — Spotkaliśmy się! Rewolucje literackie, manifesty, krzyki po nocy, sprośności — a skutek? Leżysz oto, człowieku, w koszu od bielizny, jakgdybyś miał Rougon-Macquartów powieści dla dorastających panienek pisał. I sumienie cię gryzie i nikt cię kupić nie chce. A widzisz! — Emil Zola milczał, bo ilekroć się odezwał po polsku, mówił

niegramatycznie i to go bardzo trapiło, dziecino. I zrosztą, jako zapalony zbieracz dokumentów ludzkich, wiedział dobrze, że baby nie przeprzesz. — Chyl — drwiła Klementyna — ilu to ja ich widziałam, krzykaczy, nicponiów, światoburców! Wrzasku narobi, kije we wszystkie mrowiska wsadza, a potem leży, wykolejeniec, żółty, zbutwiały, klejem cuchnie i muchy go pstrzą, reformatora. Wróbelki nań z góry tentegują, na proroka.

— Ależ, Klementyno — rzekł raptem Heine w tłumaczeniu Kraushara. — „Tentegują” w twych ustach? Nie można obcować bezkarnie z literaturą realistyczną. Nawet cheruby poczynają mówić, jak dożkarze.

— Tu nie chodzi o kwestje stylistyczne — głosem cichym, znękanym wtrącił Edgar Allan Poe. — Cherub ma słuszość, Klementyna ma rację. Fantazję trzeba mieć w życiu i pogardę dla rzeczy realnych. Ja to najlepiej wiem, bo żyję już, chwalić Boga, cztery tysiące i dziewięćset dwadzieścia lat. W Egipcie byłem kapłanem w świątyni Izydy. Posiadm wiedzę tajemną, nazywano mnie Mer Aram, zbudowałem drzwi, które się otwierały i zamykały automatycznie („*Nicht zumachen! Schliesst von selbst*”) i przewidziałem zaćmienie słońca. Tłum chylił się przede mną w strachu panicznym, byłem czczony, jak bóg. Po śmierci postawiono mi piramidę, której do dziś dnia piaski pustyni nie pogrzebały. Ale ambicja pchała mnie do większych czynów. Już w dwa tysiące lat po śmierci zmartwychwstałem, aby w Judei tłumaczyć Pismo, razem z Je-

zechielem i Ben Akibą. Talmud, Miszna i Gemara zawdzięczają mi najsubtelniejsze ustępy. Zaprawdę nikt w owych czasach głośniejszym nie był ode mnie. Pokolenia i ludy biegły całować me stopy i rąbek szaty. Odszedłem — aby się wcielić w Juliusza Cezara. Niezła to była karjera, do dziś chłopcy w szkołach średnich podziwiają moje czyny. Ale ludzie dorośli dbają o mnie tyle, co o wyjątki gramatyczne w języku acteków. Przewidziałem, że tak będzie. Porzuciwszy też skórę Cezara, jak zmiotą rękawiczkę, umieściłem się w Leonardzie da Vincim. Mam kartę całą w Encyklopedji Orgelbranda. Za obraz mój, przechowywany w Luwrze, szaleniec pewien chciał oddać życie. Ale setki milionów ludzi normalnych wolą parę nowych butów, niż mają „Wieczерzę Pańską”. Byłem przez kilka kwartałów Newtonem, zwano mnie urągliwie Izaakiem i gromadka obdartych inteligentów ma dla mnie od tej chwili sporo sympatji. Nauka była zresztą modna przez kilka zaledwie sezonów. Wziąłem się tedy do literatury. Napisałem Szekspirowi „Sen nocy letniej”, podyktowałem Cervantesowi „Don Kichota”, Heinemu „Księgę pieśni”. I leżę w koszu na Marszałkowskiej, obok Klementyny. Co dalej począć, panowie? Trzeba z żywymi naprzód iść. Excelsior! Biorę teraz lekcje mimoplastyki i jutro występuję w „Kolizeum” jako Gunnar Tolnes. Będę miał tyśiąc metrów długości i pięć części.

Ale już jestem zmęczony, bardzo zmęczony...

I ja też, dzieciно...

ROZMOWY ZMARŁYCH

Rozmowa między Szekspirem Wiljamelem i Arystofanem, Grekiem.

Arystofanes. Skądże to wracasz, drogi Wiljamie? Czemu kurzem są pokryte skórznie twoje?

Szekspir. Wracam z premjery sztuki mojej, którą Sheefman niejaki wystawił oto w Warszawie.

Arystofanes. Dziwnie próżna jest młodzież literacka dzisiejsza. Czyś kiedy widział, Wiljamie, że bym ja biegał do Teatru Letniego na widowisko? Czyś widział, że bym recenzję jaką o „Babim kole” czytał? Młody jeszcze jesteś, powiadam ci, i byle czem się przejmujesz. Gdybyś dwa tysiące i czterysta lat kariery literackiej miał poza sobą, jak ja, tobyś sądy ludzkie lekcewżył i krytyk Grubińskiego i Breitera do albumu nie wklejał. Rób, co masz robić, a na resztę gwizdaniem wesołem odpowiadaj. A przykład bierz sobie z ptaszków leśnych i choćby nawet z dentystów. Śpiewa to i cwirka albo znów zęby wyrywa, wcale nie pytając, czy się ta działalność artystyczna słuchaczom podoba i pacjentom.

Szekspir. Słuszność masz, jak zawsze, Ateńczyku. Ale zawszeć to rzecz dla autora ciekawa, czy

dzieło po latach trzystu jeszcze do pospólstwa przemawia, czy barwy nie zgasły i dowcip nie przybladł. Czy ludzie wzruszają się tam, gdzie trzeba, i czy się śmieją tam, gdzie należy.

Arystofanes. Jako komedjopisarz powinienś wiedzieć, że ludzie nigdy się nie śmieją tam, gdzie należy. A po latach trzystu czy po latach dwóch — dobry dowcip jest dobrym dowcipem, tak, jak rzeźba Fidjasza jest dobrą rzeźbą. Nic tu wyblaknąć nie może.

Szekspir. A więc nie uznajesz, Ateńczyku, postępu w sztuce? Nie sądzisz, że człowiek, który wynalazł lokomotywę, jest mądrzejszy i wrażliwszy od człowieka, który jeździł kwadrygą?

Arystofanes. Człowiek, który wynalazł lokomotywę, nie chodzi do teatru. W teatrze bywają ludzie, którzy wymyślili rozkład jazdy. Prócz tego wynaleźć procę w czasach, gdy — jako broń dalekonośna — istnieje tylko patyk, jest rzeczą trudniejszą, niż wymyślić „grubą Bertę” w wieku dział okrętowych i moździerzy szybkostrzelnych.

Szekspir. Zaprawdę lekce sobie wazysz pokolenia ostatnie. Stąd to pochodzi zapewne, że bujasz po śmierci w chmurach i żeś nieco zardzewiał przeto od wilgoci. Gdybyś na ziemię zeszedł, gdybyś ich miasta zobaczył, tramwaje elektryczne, sceny obrotowe, lampy łukowe, okręty żelazne i telefony, przyznałbyś może, iż tych ludzi uznanie zyskać — większy to splendor, niż u dworaków elżbietzańskich albo gapiów ateńskich na poklask zasłużyć. Powiadam ci, większa to sztuka zaiste w tych czasach

z chodnika na chodnik przejść, niżli w starożytności prawodawcą zostać. Solonaby na pierwszym rogu samochód przejechał, Tales z Miletu listuby poleconego na poczcie odebrać nie umiał. Cezaraby za nieudolność z wojska wyrzucili i musiałyby do milicji na posterunkowego wstąpić.

Arystofanes. Tacy są mądrzy, mówisz? Czemuż więc oko twoje weselem nie jaśnieje, czemu policzki żółte masz i zapadłe? Zaliś powodzenia nie miał?

Szekspir. Owszem. Oklaskiwano mnie mocno i w antraktach wywoływano.

Arystofanes. Może Arystarch który, albo Zoil ugryzł cię boleśnie?

Szekspir. Gorzej, Ateńczyku. W bufecie napojono mnie akwawitą monopolową od cykuty gorszą, a na wieczrę jadło mi spożywać kazali, któremby pies spartański pogardził, ogon zadarłszy.

Arystofanes. Przebóg, co słyszę? To oni wołu dotąd „elektrycznego” nie wynaleźli? wina „obrotowego” nie mają? ambrozji „łukowej” nie odkryli?

Szekspir. Nie, mistrzu ateński. Żywią się gorzej od huncfotów.

Arystofanes. Powiedz temu pospólstwu, żeby sztuk moich wystawiać się nie wazyli! Bo przyjdę i na cztery wiatry rozpędzę! Niech sobie grają Fikołkowskiego.

I niech fałszują wino.

ŻYCIORYSY

1.

KRZYSZTOF KOLUMB

Przyprawny fantazji skrzydła, zapalmy papierosa i wyobraźmy sobie iż niejaki *don Christoval* urodził się w Warszawie. Oto jego *curriculum vitae*, opracowane wedle źródeł najnowszych, tudzież na podstawie licznych dokumentów.

Kurjerek. Rubryka: *Odczyty i posiedzenia*. Druk najdrobniejszy. Sprawozdanie:

„Wczoraj, w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa niejaki pan Krzysztof Kolumb wygłosił pogadankę p. n. „Droga do Indyj wschodnich”. Prelegent usiłował dowieść, że ziemia ma kształt gruszki, czy też pomarańczy i że można ją opłynąć *naokoło* (sic! P. R.) Publiczności zebrało się niewiele. Słuchano wywodów pseudo-naukowych, które na żart *prima-aprilisowy* zakrawają i kiwano głowami.

P. Kolumbowi zwrócić należy uwagę, iż powinien się uczyć, i raz jeszcze uczyć, nim zacznie występować publicznie”.

Przez kilka miesięcy następnych pan Krzysztof próbuje się uczyć. Niestety nie wie *za co*. Aż wreszcie:

Kurjerek. Rubryka: Z teatrzyków. Druk znacznie większy: „Wczoraj w kabarecie artystycznym Bum-de-ra, tak świetnie prowadzonym przez znanego literata i poetę, Omtadralskiego, ujrzeliśmy nowy, świetny, imponujący siódmy program. Debjutował między innymi p. Krzysztof Kolumb i debjut ten możemy zaliczyć do bardzo udanych.

Produkcje młodego artysty przyjmowano bardzo życzliwie, zwłaszcza zaś podobało się *stawianie jajka*, które na ogólne żądanie musiało być dwukrotnie powtórzone. Pan Kolumb będzie — niewątpliwie — cennym nabytkiem dla naszej nadscenki.

I p. Bęc-Migalska ma talent, który...”

Uciulawszy trochę grosza, Kolumb wyjeżdża zagranicę.

Ślad po nim ginie. Wreszcie —

Rubryka: Polacy za granicą. Garmoni!

„Dowiadujemy się, iż rodak nasz i warszawianin, p. Krzysztof Kolumb, odkrył Amerykę.

Prasa zagraniczna wyraża się z wielkiem uznaniem o tem odkryciu naszego rodaka.

P. Krzysztof jest synem znanego w szerokich kołach naszego miasta...”

Pan mecenas Furdasiewicz do pana radcy Drygalskiego u Lourse'a:

— Słyszał pan radca, co? Czytał pan o Kolumbie? Zaimponowaliśmy Europie, he? Wiedzą teraz, co to my?

— Niby co się stało?

— Jakto? nie czytał pan? Odkryliśmy Amerykę, panie...

— A cóż to jest Ameryka?

— Djabli ją tam wiedzą. W każdym razie w prasie europejskiej aż huczył! Ten Kolumb, no! Ktoby przypuszczał. Ja go pamiętam, panie. Widziałem go w Bum-de-ra. Niezły był, ale gdzie mu tam do Gierasieńskiego.

— Ja bo zawsze mówię, żeby im tak Mesalkę posłać, toby dopiero oczy wybałuszyl!

— — — — —

Po głębszym namyśle Krzysztof Kolumb postanowił urodzić się gdzie indziej.

2.

SZEKSPIR

Z TEATRU.

— Młody, wstępujący dopiero w szranki sceniczne literat, p. William Shakespeare, złożył zarządowi Spółdzielni sztukę p. t. „Hamlet”. Sztuka „osnuta jest na tle życia” dworu duńskiego i wywołała żywe zainteresowanie w sferach artystycznych.

P. Shakespeare jest synem znanego w szerokich...

W kancelarji teatru.

— Kolego Kabotyński, mam tu sztukę. Może przeczytacie? To coś dla was. Kobyła, białym wierszem.

— Czyje to?

— Szekspira.

— Z francuskiego?

— Nie, oryginalne.

— Autor żyje?

— Żyje.

— To, wiecie, nie warto grać. Pretensje, fana-
berje. I tantjemę mu płąć i po teatrze się szwenda,
na próbach uwagi robi...

A jest przynajmniej rola dla mnie?

— Jest. Dlatego sztukę zakwalifikowałem. Za-
gracie Hamleta. Chłop młody, przystojny, z dobrej
rodziny, kobiety na niego lecą. Prawie nie schodz
ze sceny.

— A co robi? Uwodzi kogo, czy jak?

— Chce zabić ojca czy ojczyzna i namyśla się,
chodzi i namyśla się...

— Zabić ojca na scenie? Ci nasi młodzi autorzy
też mają, psiakość, pomysły! Morderstwo w teatrze?
Mało tego mamy w życiu? Krytyka zerznie. Nie
znacie ich? Oni strasznie śmierci nie lubią. Je-
szcze który do siebie weźmie i obrazi się...

Szekspir jednak ma szczęście. Hamleta grają.
Z Kabotyńskim w roli tytułowej.

Premjera. Nazajutrz młody autor czyta z biją-
cem sercem Kurjerka.

Recenzja.

„Wystawienie wczorajszej sztuki historycznej
p. t. „Hamlet“ zaliczyć należy do najbardziej chy-
bionych eksperymentów teatralnych. Temat zaczerp-
nął autor z historii Danji (ach, przepraszam, co
mnie obchodzi Danja?). Utwór znamionuje zupełny
brak techniki — szereg drobnych scenek, monolo-

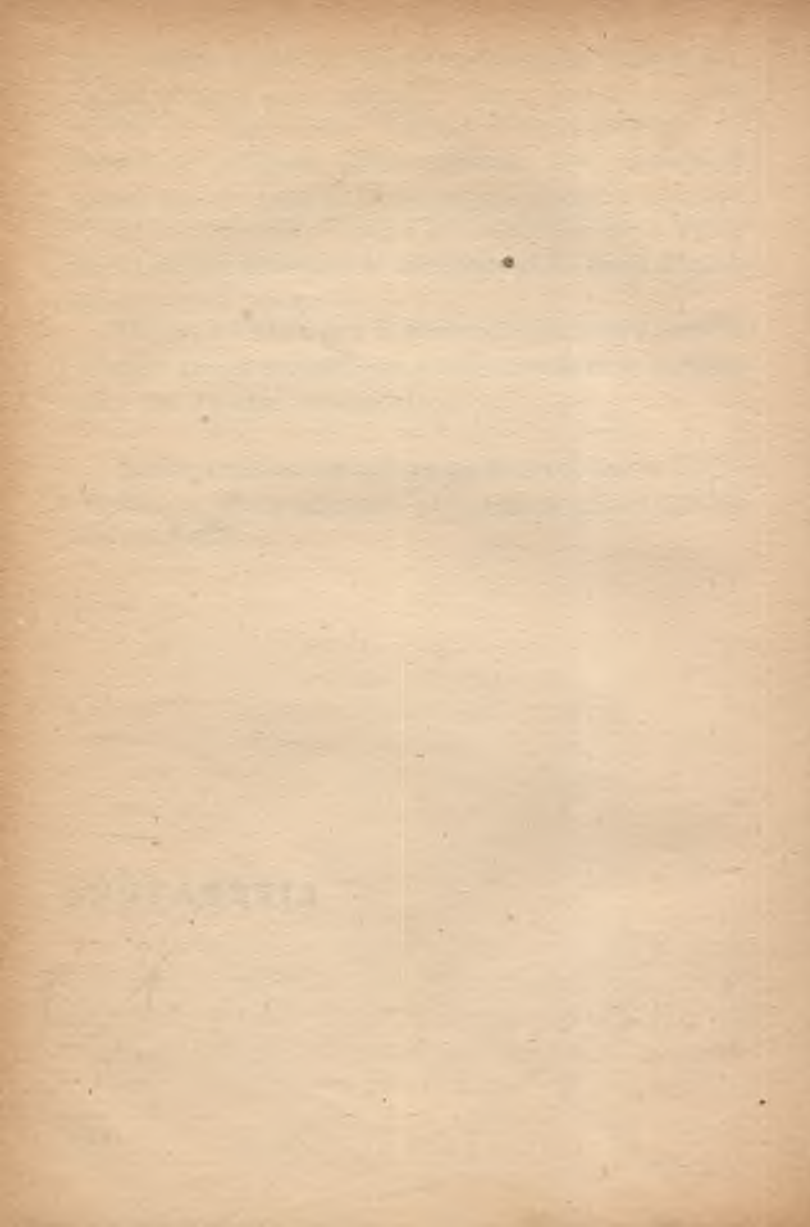
gów, kilka farsowomelodramatycznych pomysłów. Jeżeli chciano nam pokazać króla, czemu nie sięgnięto do Caillaveta i Flersa? Najstraszniejsze są chwile, w których autor próbuje być dowcipny (gdzie mu do Gyp'a!) Ordynarne, rubaszne koncepty budzą niesmak. Uroczą informatorka moja rzekła mi wczoraj z powabnym uśmiechem: *Fi donc!* Muszę jej przyznać słuszność.

Nawet świetna gra Kabotyńskiego, który był jak zawsze grand-seigneur i bon-vivantem w każdym calu nie zdołała uratować...

— — — — —

Szekspir wolał snuć, żeby go pogrzebano w Stratfordzie, a nie w „gazetce” i z tego względu urodził się w Anglii.

LITERATURA



1. W CZORAJ...

DOCHODY BOHATERA POWIEŚCIOWEGO

— Honorarja literackie — mówił mi jeden z młodszych kolegów — zostały wreszcie, dzięki bardzo praktycznej uchwale naszego Związku zawodowego, raz na zawsze ustalone. Człowiek piszący jest teraz w ścisłym kontakcie z taksą tramwajową i gdyby tak Petrarka z grobu powstał i — czego mu nie życzę — u nas się osiedlił, miałby prawo za każdy dźwięczniejszy sonet do Laury objechać Warszawę zerem czternaście razy dookoła. Ponieważ zaś podróżę kształcą — więc już na Żelaznej przypomniaby sobie błysk jej oczu, albo linię jej spadzistych ramion, ułożyłby nową boską canzonę i jeździłby spokojnie dalej przez całą noc, z Placu Teatralnego na Mokotów oraz zpowrotem.

Przekonałem się, coprawda, że jeszcze nie wszyscy funkcjonariusze miejscy słyszeli o tej reformie. Wskakuję naprzykład wczoraj nad ranem do tramwaju Nr. 10, jestem zlekka zawiany i nie mam przy duszy ani grosza. Furda — myślę sobie — siadam na ławeczce i deklamuję konduktorowi pewien nigdzie dotąd niedrukowany czterowiersz „siedziała

na lipie, wołała Filipie", — poczem żądam kategorycznie, aby mi wydano sto tysięcy marek reszty. Wedle taryfy związkowej bowiem należał się ode mnie jeden wiersz poezji, albo dwa wiersze prozy. Biletu nie dostałem, konduktor mi nawymyślał i wydalil mnie przemocą ze swego głupiego wehikułu. Bardzo być może, że mu się rytm mojej strofy nie podobał.

Pomijając te drobne nieporozumienia — literatom wiedzie się jako tako, żyją...

O ileż gorzej od spraw zarobkowych autorów wygląda budżet ich bohaterów powieściowych! Nikt się o nich nie troszczy, nikt nie myśli o reformie, a kwestja jest coraz bardziej paląca i nagła!

Wyobraźmy sobie, że piszę baśń cudowną w której ubogiemu kopciuszkowi zjawia się na drodze cierniowej żywota księżę, tak zwany nabab, osobistość szalenie przystojna i nadewszystko niezmiernie bogata. Ile taki człowiek ma właściwie zarabiać, jaki mu ja — jego autor — mam ofiarować majątek, żeby mi już podczas drukowania książki nie zubożał, a w rok po jej wyjściu nie zeszedł na psy — co mówię! — nie wyglądał na podejrzanego łowcę posagowego, który zaślubia biednego kopciuszka tylko poto, aby żyć z pracy jego (t. j. kopciuszka) rąk?

Nie wiem, czy mówię dość obrazowo i dlatego przytoczę tu przykład z własnej praktyki. Wziąłem się niedawno do roboty i piszę komedję obyczajową. W połowie pierwszego aktu utknąłem, stoję, natrafiam na nieprzezwyciężone trudności natury

pieniężnej. I — o dziwo — zawadą jest mi, po raz pierwszy w życiu, nie oplakany stan własnej kasy, ale pogmatwane stosunki finansowe moich bohaterów.

Ile właściwie ma zarabiać mąż, o którym mówię, ze jest to typ dodatni i szlachetny, ale skromnie uposażony? ile ma wydawać na fatalaszki jego piękna, choć marnotrawna żona? ile ma — dziennie — wyrzucać przez okno niedoszły amant, hrabia Wądołek, człowiek bajecznie bogaty i żyjący nad stan? Jakiemi cyframi oznaczyć to wszystko?

Bo nie przypuszczam, żeby kogo mógł wzruszyć do łez fragment następujący: „Hrabia Emil rzucił się w wir zabaw. Hojność jego weszła poprostu w przysłowie. Mówiono sobie na mieście, że szoferowi ciska nieraz wielkopańskim gestem po trzy większe abonamenty tramwajowe, że pewnej kwiatciarce ulicznej za bukietik fiołków dał miesięczny bilet kolejowy Warszawa — Tłuszcz. Kiedy się ukazywał w wykwintnym *ballu* hotelowym — młody, smukły, smagły, piękny, zamożny — kelnerzy tworzyli szpaler, witając go ukłonem i uśmiechem. On zaś szedł i rozrzucał między nich, nie mrugnawszy nawet powieką, napiwki, od których w głowie się przewraca. Temu bilet powrotny do Zbąszynia, owemu abonament do golarza, tamtemu plackartę Wołomin — Lwów i cztery peronówki. Grywał niekiedy w karty i nieraz widywano, jak ruchem nie dbałym kładł na zielone sukno po czterdzieści tysięcy przejazdów tramwajowych w jednym kawałku! Szalał... Wzruszona pani Dziunia czuła,

że słabnie i że mu się nie oprze. Nie dziwny się tej kobiecie. W domu prawie nędza, mąż pracuje od świtu do nocy, aby zdobyć te, niezbędne do życia, trzydzieści kursów nocnych dorożki parokonnej. Jaś przetaił spodnie na siedzeniu i krawiec zgłasza się codzień z rachunkiem, żądając hałaśliwie biletu sezonowego na kolejki podjazdowe, dług u Zmigrydera przekroczył oddawna cztery sleepingi do Borysławia, kucharce należy się za dwa kwartały trzykrotna taksa samochodu ciężarowego. Skąd brać na to wszystko? Jedyna speranda zawiodła. Wuj Amilkar umarł wprawdzie, ale cały majątek (dwa miliony pensyj stróża nocnego i dwadzieścia pięć szyfkart pierwszej klasy) zapisał na cele filantropijne..."

Mojem zdaniem — jeżeli literatura piękna ma wogóle istnieć dłużej, jakiś walny kongres literacki, pod protektoratem Maryny Mniszek, powinien ustalić raz wreszcie dochody typów powieściowych.

Inaczej grozi [nam poprostu ruina. Książka — dziś jeszcze sensacyjna — już nazajutrz jest naiwna, śmieszna, niemożliwa.

Kilka dni temu wybrałem się do teatru na ostatnie przedstawienie pewnego melodramatu krajowego. Jakaś wielka afera bankowa, jakaś Panama, w którą autor zaplątał finansjerę, arystokrację rodową, prasę. W scenie kulminacyjnej grono podejrzanych kanaliż zarzuca pewnemu wyjątkowo szlachetnemu młodzieńcowi niesłusznie, że ich podszedł i że zdefraudował — tak jest zdefraudował —

pięć milionów marek. Oburzenie, repliki, gesty, patos. Tylko w krzesłach — tu i owdzie — ktoś się uśmiecha ironicznie pod przyszczyżonym wąsem. Istotnie bowiem — szlachetny młodzian, zamiast gniewem parskać, powinien był powiedzieć poprostu,

— Pięć milionów? Pieniądzy tych — jako żywo — nie brałem. Ale nie będziemy się spierali o kwotę tak drobną. Służę — oto jest jedwabna chustka do nosa, rękawiczki skórkowe, szalik. Nadeślę panom jeszcze flanelowy garnitur marynarkowy, pokrywam *manco* tysiąckrotnie i proszę o wydanie reszty...

Po przedstawieniu lecę do autora krajowego i pytam go gromkim głosem, dlaczego, u licha, zepsuł „samochcac“ efekt i nie powiększył do rozmiarów bardziej imponujących swego nadużycia bankowego.

— Panie! — powiada mi ów nieszczęśnik — nie dotykaj pan tej kwestji, bo oszaleję! Kiedym sztukę pisał — pięćdziesiąt tysięcy było już sumą wielką i taką też umieściłem w oryginale. Na próbie czytanej podnieśliśmy tę pozycję do pięciu kroć, na premierze do pięciu milionów, teraz, na czternastem przedstawieniu znów pan żąda podwyżki? Nie będę dla pańskiej satysfakcji poprawiał manuskryptu codzień, podług ostatniej ceduły giełdowej!

2. DZIŚ...

K R Y Z Y S

Rozpoczęliśmy tę dyskusję na balu autorów dramatycznych, ale jeszcze na balu siedmiu epok nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi. Mój rozmówca był we fraku i w białej pikowej kamizelce (epoka kamienia łupanego), a mimo to skarżył się na zastój ekonomiczny, zwłaszcza zaś na stagnację w literaturze.

— Popyt nawet jest, owszem, giełda notuje pewne ożywienie w walorach powieściowych. Dość powiedzieć, że niedawno wziąłem zaliczkę na romans współczesny. Cóż kiedy w obecnych warunkach produkcja jest niemożliwa.

— Produkcja jest niemożliwa? Dlaczegoż to, szanowny kolego?

— Dlatego, że autor w dzisiejszych czasach, choćby się na głowie postawił, nie znajdzie nigdzie bohatera romansu. Finis, skończyło się. Podaż w tej dziedzinie zmaląa do zera. Koniec.

— A cóż się z bohaterami stało?

Odsapnął i rzekł:

— Nie wiem. Wymarli. Zbankrutowali. W każ-

dym razie nawet za grubsze pieniądze nie znajdziecie dziś człowieka, któryby się tej roli mógł podjąć.

Wyobraźcie sobie, na przykład, że sięgam — jako autor — do wzorów teraz już klasycznych, do mistrzów pozytywizmu i robię z mego Świrskiego Wirskiego — czy jak się tam owe typy zazwyczaj nazywają — dzielnego kupca. Dzielny Świrski fabrykuje perkaliki jak Połaniecki, albo zakłada sklep, jak Wokulski — i co dalej? Podatek majątkowy, podatek obrotowy, podatek dochodowy... — Świrski robi sromotną plajtę. Gdzie tu jest temat do powieści?

— Każcie mu budować koleje żelazne! Niech będzie inżynierem, jak za czasów Elizy Orzeszkowej.

— Inżynier nie buduje dzisiaj dróg, nie przeryna dalekich obszarów szynami kolejowymi. Co najwyżej kopie sobie dołki w Alejach Jerozolimskich. Jeżeli zaś macie na myśli jego kolegę, budowniczego Solnesa, to ten — jak wiadomo — oddawna zawiesił wypłaty, zlikwidował przedsiębiorstwo budowlane i szuka posady konduktora w tramwajach. Stagnacja.

— Pchnijcie Świrskiego na drogę romantyczną, zróbcie z niego uwodziciela! „Don Juan” niedawno miał szalony sukces...

— Nie wyobrażam sobie uwodziciela w naszych warunkach mieszkaniowych. Żeby podbijać serca niewieście, szerzyć popłoch i zamęt wśród podwik, żeby bałamucić skutecznie kobiety i dzierlatki — trzeba mieć przynajmniej lokal w śródmieściu. Don Juan Tenorio, który musi szeptać słodkie słówka w parku Skaryszewskim, a później wiezie otuma-

nioną bezwolną, oczarowaną donnę Annę przez całą Warszawę wpoprzek aż na Sierakowską, gdzie w pewnej suterynie ma pokój z wejściem przez wspólną bawialnię—nie, moi drodzy, nikt w to nie uwierzy. Don Juan był możliwy w Hiszpanji, ale nie w Warszawie.

— Cóż więc poczniemy ze Świrskim?

— Właśnie o to się was pytam.

— Zaraz! Możebyście mu uśmiercili stryja w Ameryce i zdobyli w ten sposób dla swego bohatera jakiś grubszy spadek?

— Próbowałem! Adwokaci powiedzieli mi, że windykacja takiego spadku trwa lat trzydzieści. Dopiero po trzydziestu latach Świrski, zapłaciwszy oczywiście podatek spadkowy, obrotowy, postępowy, jednostajnie przyśpieszony, wirowy, tranzytowy, dochodowy, stemplowy, czterowymiarowy i hyperboidalny, otrzymuje z majątku po nieboszczyku stryju (dwa miliony dolarów) złotych polskich piętnaście i groszy dwadzieścia, z których jeszcze uiszczyć musi podatek od niedozwolonych zysków wojennych.

— Jakaś rada musi być! Mam! Niech Świrski wygra główny los na loterii państwowej i niech jedzie zagranicę. Z tysiącami dolarów w garści coś przecież można zdziałać, jeżeli się ma na usługi fantazję tak zdolnego autora, jak wy, kolego.

— Owszem, możnaby... Tylko, że mu pieniądze odbiorą zaraz na granicy, w Zbąszyniu, i jeszcze mi go wsadzą do kryminału za przemykanie waluty.

— Dobrze. Niech więc jedzie bez pieniędzy,

jako poszukiwacz przygód, włóczęga, odkrywca. Powieści morskie cieszą się dużem powodzeniem. Niech jedzie, jak legendowy Jan z Kolna... jak bohater Jacka Londona, jak „tramp...”

— Bez pieniędzy? Czy wy myślicie, że mu dadzą paszport ulgowy? Na jakiej zasadzie? Włóczęga musi się wykazać w magistracie, musi złożyć dowody, że jedzie w celach społecznych, handlowych, przemysłowych. Jack London jest możliwy w Ameryce, ale nie u nas.

Nie, moi drodzy. Ja tę sprawę przemyślałem aż do gruntu. Widzę w naszych warunkach tylko jeden typ powieści. Świrski wstaje rano, czyta zawiadomienie o trzech protestowanych wekslach i udaje się na kawę do Ziemiańskiej. Tu pożycza od znajomego złocisza i oczkuje z pewną cudną, urodziwą dziewczoją. Miłość od pierwszego wejrzenia! Dziewoja i Świrski wychodzą z kawiarni i, nie mając na tramwaj, idą na plac Kercelego, zatopieni w rozkosznem gruchaniu. Z placu Kercelego wędrują, wciąż zatopieni w rozmowie, na Targówek, a stamtąd udają się piechotą — rozprawiając bez przerwy o rzeczach oderwanych — na Agrykolę Górną. Wieczorem idą do teatru za kartką, ponieważ sztuka nie ma powodzenia i Kabotyński wetknął memu bohaterowi bilet darmowy na dwie osoby. Po przedstawieniu Świrski odprowadza — naturalnie per pedes — dziewczoję na Przyrynek i wraca, ciężko stąpając, do domu, na Polną. Tu dowiaduje

się o trzech innych wekslach... Obawiam się, że opowieść o monotonnem życiu mego bohatera nie wzbogaci literatury i że nie dostanę nagrody wydawców.

Ostatecznie—nie można opierać twórczości wyłącznie na zaletach stylistycznych i językowych...

MOTYWY

Miłość i głód — to były dawniej dwa bieguny, przez które oś bytu, że tak powiem, przechodziła. Dwie sprężyny wszystkich czynów ludzkich. Zwłaszcza miłość miała opinię ustaloną — tomy wierszy lirycznych jej poświęcano, była treścią wszystkich romansów, dramatów — „cherchez la femme” mówili kryminaliści i urzędnicy sądowi w każdej zawikłanej sprawie. Dziś ta sprężyna zardzewiała już cokolwiek. Nikt się tak łatwo z miłości nie zabija, a jako motyw zbrodni została wyparta poprostu przez mieszkanie.

Tylko bardzo naiwnych i dziecinnych ludzi wzrusza dziś w kinie lord angielski, którego żona porzuciła i który przeto siada w głębokim, wygodnym fotelu przy kominku i patrzy ponuro na lufę rewolweru, wyzierającą z szuflady biurka. Nonsens. Gdzież tu jest dramat?

Dopóki lord ma mieszkanie, mowy być nie może o żadnej tragedji. Sytuacja miałaby napięcie dramatyczne dopiero wtedy, gdyby lord musiał złożyć rzeczy u znajomego na warszawskim Placu Kercelego i sypiać w wannie, w łaźni Fajansa, gdyby

w olbrzymiem miljonowem mieście nie posiadał łokcia kwadratowego podłogi, na której mógłby postawić swój fotel, nie mówiąc już o biurku z rewolwerem, gdyby musiał się martwić na przystankach tramwajowych, na dworcu kolejowym, w windzie, w magistracie, w lokalu wyborczym.

Człowiek głodny idzie poprostu do znajomych z wizytą, siada na kanapie, plecie, co mu ślina na język przyniesie i czeka aż mu podadzą herbatę, keks, gruszkę i czekoladki nadziewane. Może się przyznać głośno, że jest głodny i liczyć na to, że go nakarmią. Ale niechby, zamiast mówić inteligentnie o polityce Lloyd George'a i Arnolda Szyfmana, spróbował powiedzieć pani domu: za gruszkę i praliny dziękuję. Doprawdy nie mogę — nie krępuję się, tylko mam dosyć. Zato — jeżeli mam być szczery — od roku nigdzie nie mieszkam, chciałbym raz wreszcie zasnąć spokojnie, zebrać myśli, pomarzyć. Oto są moje papiery. Czy pozwoli pani, że się na tej kanapie zamelduję? Czy wolno mi tu będzie spędzić ze trzy miesiące, dopóki sejm czegoś nie postanowi i „rozbudowa miast” nie stanie się faktem?

Namiętni manjacy z epoki minionej, krytycy teatralni, szukają w każdej sztuce przedewszystkiem elementu erotycznego. Co do mnie — nie uznaję dramatu bez elementu mieszkaniowego. Niedawno zahaczył mnie na rogu Wareckiej jeden z przyjaciół:

— Hallo! gonię za tobą od godziny! Mam dla ciebie pokój! Centrum miasta, ogrzewanie central-

ne, oświetlenie elektryczne. Słuchaj uważnie: „Nina” Kampfa w teatrze ma iść bez suflera. Aktorzy umieją role na pamięć i budka przez sześć tygodni będzie wolna. Idź do dyrekcji i poproś, żeby ci ją wynajęli.

— Nie pójdę. Nie warto. Budka nie będzie wolna przez sześć tygodni. Nie wierzę w sukces tego dramatu. Znów jakaś afera miłosna i znów jakiś starszy pan, wskutek niepowodzeń erotycznych — skacze głową na dół ze schodów czy też rzuca się w otwór liftu. Cóż z tego, że stary szlachetny mąż usuwa się dobrowolnie, kiedy z treści sztuki nie widać, komu zapisał lokal i gdzie młoda żona z kochankiem mają mieszkać? Literatura przedwojenna jest dziwnie papierowa, nieszczerą, oderwaną od życia i nikogo dziś już interesować nie może — zwłaszcza przez sześć tygodni. Rzecz napewno zrobi klapę i po czterech wieczorach sufler znów mi się wkwateruje do mojej budki.

— Ależ mój drogi, nie można tak ryczałtem wszystkiego potępiać! Przecież Szekspir...

— Szekspira, chociaż jest grubo przedwojenny, można będzie jeszcze ocalić. Należy go tylko trochę zreformować i przystosować do naszych czasów. Pracuję właśnie nad „Otellem” i zarys intrygi już mam. Murzyn Otello wyjeżdża na wyprawę przeciwko Turkom. Desdemona zostaje sama na gospodarstwie i urząd mieszkaniowy rekwiruje jej jeden pokój dla oficera, Kasja. Jago na wojnie zwraca uwagę swemu szefowi, murzynowi, że między właścicielką prawną mieszkania i jej subloka-

torem, Kasjem, zadzierzgnął się pewien supelek niedozwolony. Otello, pobiwszy Turczyzna, wraca, dostaje order, tytuł, demobilizuje się i chce usunąć sublokatora. Ale Kasjo zmienia zamek przy drzwiach, zawładnął wodociągiem, dał łapówkę administratorowi domu, ma w ręku telefon i klucz od windy. Każe murzynowi, który ma astmę, wędrować na piąte piętro piechotą, przywłaszczył sobie gazomierz i licznik elektryczny.

Otello postanawia mu dobrowolnie oddać Desdemonę (bo, rzeczywiście, poco murzynowi Desdemoną?), ale przewrotny Kasjo uwiódł tymczasem służącą Emilję i ma z nią dziecko. Desdemona wyrzeka się Kasja, zato uwiedziona Emilja sprowadza rodziców swoich ze wsi, którzy, dysząc zemstą, wraz z bratem przyrodnim, zajmują kuchnię i łazienkę. Na domiar złego nawet para kanarków ma młode i czyni rwetes szalony, skarżąc się na brak miejsca w klatce. Zdemobilizowany Otello wypożycza na wymiar karabin maszynowy, zabija siebie, Kasja, Emilję, parę kanarków, dwoje ludzi ze wsi i rządcę domu.

To jest dopiero efektowne zakończenie piątego aktu.

P L A G J A T

Przyszedł do mnie blady, nieogolony i miał wypieki ceglaste, niezdrowe na policzkach.

— Dłużej tego nie wytrzymam — rzekł posępnie. — Po nocach nie sypiam, straciłem apetyt. Proszę mię zaareztować. Jeżeli macie jakie stosunki w sferach miarodajnych, każcie mnie okuć w kajdany. Czuję, że jedno mi tylko pozostało — dozgonna ekspiacja...

— Co się stało?

— Popeliłem plagjat! Mówiąc ściślej: popełniłem szereg plagjatów... Mówiąc zaś zupełnie ściśle: cała moja działalność literacka — to jeden nieprzerwany ciąg plagjatów, włamań i kradzieży, albo, jeżeli wolicie, kradzieży z włamaniem.

— I jakim cudem to wyszło najaw, kolego?

— Przypadek, prosty przypadek. Razu pewnego rozmawialiśmy w „Kresach” o aferze znanego romanisty i tłumacza arcydzieł włoskich na język polski, kolegi Edwarda B.

W jego artykule krytycznym ktoś dostrzegł kilka zdań cudzych i wytoczono mu, jak wiecie, proces sensacyjny, który jeszcze trwa, o ile się nie skoń-

czył. Wszystkie pisma o tem piszą, opinja jest poruszona do żywego. Wróciłem do domu, położyłem się, jak na prawego obywatela przystało, do łóżka... Ale już po pięciu minutach wstał z tego łóżka, zamiast prawego obywatela, przestępca i złodziejaszek... Przypomniało mi się, że lat temu sześć wystawiłem w teatrzyku nocnym „A kuku” sketch i że ten sketch posiada myśl przewodnią, ściągniętą z komedyjki Labiche’a.

— Jakeście się mogli dopuścić takiej zbrodni?

— Nic o tem nie wiedziałem! Napisałem taką bluetkę, zapaliłem papierosa, zatarłem ręce—byłem nawet bardzo z siebie zadowolony... Na premierze—grają moje sztuczdyło, ja siedzę spokojnie i raptem... Boże! myślę sobie, przecież ja pocziwemu, staremu Labiche’owi pomysł ukradłem! Trzymać złodzieja! Przez dłuższy czas chodziłem po świecie, jak struty, aż gdzieś wreszcie natrafiłem na wiadomość, że ostatecznie wielki Szekspir nic innego przez całe życie nie robił, jeno okradał nowelistów włoskich. Zacząłem sprawę badać głębiej i trochę się uspokoiłem. Cała historia literatury to jeden wielki, pisany album przestępców. Już w Biblii są ślady ksiąg wedyckich, Mahomet ściąga oburącz od Chrystusa. W wiekach średnich banda podejrzaných rzezimieszków toczy istne bójki o Trystana albo o Sowizdrzała—wyrrywają sobie tematy nawzajem, okradają jeden nicpoń drugiego do ostatniego guzika. Na niektóre cenniejsze pomysły—na Fausta—Twardowskiego, na tańczącą Salome—rzucają się całe gromady opryszków, urwipołciów,

ciemnych indywiduów. Salome wędruje, jak prawdziwa „złota cebula“ z łańcuszkiem — od Heinego do Wilde'a i od Flauberta do Kasprowicza.

Przez długie lata i dziesięciolecia policja, złożona z poważnych brodatych profesorów i historyków, próbuje ustalić jakiś tytuł własności w tych zagmatwanych złodziejstwach literackich, próbuje odnaleźć prawego właściciela i zwrócić mu co do niego należy. Napróżno! Ze świecą uczciwego człowieka odszukać nie można. Dwa miljarde ludzi zamieszkuje ten glob i dwa miljarde ludzi w chwili, kiedy się do pisania zabieram, jakieś zdania wygłasza, jakieś opinie wypowiada. Skąd zdobyć pewność, że tych kilkadziesiąt słów, które przed chwilą na atrament zamieniłem i za które żądam honorarium, są akurat moją wyłączną własnością duchową, a nie Kalidasy, Dalaj Lamy, Lao Tsego, rabina z Góry Kalwarji, D'Annunzia, starej Kownackiej, Jewreinowa, małego Orgelbranda, Li-Hung-Czanga, Forda, Larousse'a?

Od owej nocy pamiętnej, od owej rozmowy w „Kresach“, która mnie uświadomiła, jakie to kary grożą człowiekowi za zbrodnię plagiatu — próbuję wrócić na uczciwą drogę. Wertuję i obracam na nice każdy nieopatrzenie zapisany arkusik papieru. Przekreślam, zmieniam, przeinaczam. Napróżno. Szydło z worka wylazi: to pożyczyłem od Prusa, tamto od Dickensa. Ostatecznie samo słowo, z którego się nasze utwory składają, nie jest naszym wymysłem, przywłaszczyliśmy je sobie, wynajęli na czas pewien. Jak w tym dziwacznym ma-

terjale wykuć rzecz, do którejby nikt na świecie pretensji nie miał? Powiadają, że wielkie odkrycia naukowe są wolne od wszelkich zarzutów i uroszczeń. Błaga! Kopernikowi zwracano uwagę, że już Grecy coś tam przebąkiwali o obrotach ziemi, Einsteinowi, że już Wells pisał o „podróży w Czasie” i o czterech wymiarach. Zaprawdę każde pióro jest wytrychem i każdy kałamarz cudzą szufladką. I w tych warunkach wytaczamy młodemu romaniście proces o plagjat? Dlaczego? że powtórzył kilka zdań z jakiegoś artykułu k r y t y c z n e g o?

Od stworzenia świata nikt jeszcze nic mądrego, a tembardziej w ł a s n e g o, w artykule krytycznym nie powiedział. Przepisujemy jedni od drugich — jak małe dzieci w szkółce — nawet tam, gdzie o twórczość istotną chodzi — „ściągamy” nawet w dziedzinie nauk ścisłych. Do każdej teorii matematycznej przyznaje się co najmniej trzech autorów, do każdego patentu technicznego co najmniej sześciu wynalazców.

Skoro zaczynamy tępić plagjat, kolego, żądam, żeby zniszczono całą literaturę dotychczasową i, zwłaszcza, żeby mnie wzięto natychmiast pod dozór policyjny... Chcę mieć chwilę spokoju.

GRY I ZABAWY

A F E R A H O N O R O W A

Kto się chce naocznie o tem przekonać, że w gruncie rzeczy jesteśmy narodem chłopskim, powinien w godzinach południowych — w okresie t. zw. przyływu — udać się na studia agrarne do małej Ziemiańskiej. Zobaczy tu walkę o byt, walkę o ziemię w najpierwotniejszej postaci. Zobaczy, jak młody Boryna-Cyferblat czyha, świecąc białkami oczu, na spadek po starym Borynie-Cyferblacie, który siadł mocno pod bufetem, krzepki jak dąb, i piędzi marmurowego blatu dobrowolnie ustąpić nie chce. Zobaczy jak brat idzie z kłonicą przeciwko bratu aby zdobyć ten kusztyczek miejsca pod laskiem tortów, przeznaczonych do ekspedycji. Zobaczy, jak rodzina Messetag-Wdzientargujskich broni pazurami swego, pracą i znojem pokoleń zdobytego zagonu ojczystego pod budką telefoniczną przed najściem Paździewicza, malarzy z grupy „Obrót” albo poetów z grupy „Leukocyt”.

Czasem walka urasta do rozmiarów gigantycznych, antycznych i możnaby nie cztery ale siedem tomów wielkiej epopei stworzyć pod tytułami „Poniedziałek”, „Wtorek”, „Środa”... Nie wiem, czy

Akademja szwedzka chciałaby to czytać, ale jestem pewien, że „Piątek”, „Sobota” a zwłaszcza: „Niedziela” byłyby pełne grozy i niesłychanego w dziejach literatury natężenia dramatycznego.

O, bo połała się już krew, tak jest, były już zatargi krwawe o miejsce w Ziemiańskiej! Wiem o tem, bo pewien znajomy mój, liryk, który z jakiegoś „bocianiego gniazda” za ladą przygląda się codzień Malstroemowi warszawskiemu, udzielił mi łaskawie kilku informacji.

— Pojedynek! — mówił mi ów liryk drżącym głosem. — Nie umiem panu powiedzieć, czy się będą bili na szable, czy na lance — z mojego kąta za kontuarem przez te przekłete herbatniki i badjanki nie dosłyszałem dokładnie, o co chodzi — ale to wiem napewno: będą przelewali krew! Sprawa honorowa! Pojedynek!

— Kto? Z kim?

— Mainacht-Wnocmajewski z Mdąbodzińskim!

— O co?

— O stolik. Było to, uważa pan, tak. Zastrzegam się, że nie wszystko podam ze ścisłością naukową, bo przez te napoleonki z kremem... Ale — do rzeczy! Otóż pod lustrem siedzi sobie spokojnie Mdąbodziński, gładzi dłonią przedział (na głowie) i widocznie czeka na kogoś. Wtem wpada z teką Mainacht-Wnocmajewska i, nic nie mówiąc, siada przy tym samym stoliku, poczem zamawia pół czarnej. „Przepraszam cię, moja droga — Mdąbodziński na to — krzeselko jest zajęte”. Pan zna Meinachtową i wie pan, jak dalece ta kobieta jest uparta.

„Niezajęte — mówi Mainachtowa — *j'y suis, j'y reste*”,
„Ofeljo — mówi Mdąbdziński — proszę cię, odejdz”.
„Nie odejdę”. Tak sobie gwarzą *crescen do i fortissimo* — aż tu raptem wyłania się z tłumu sam Mainacht-Wnocmajewski. „Obraziłeś moją żonę — powiada do Mdąbdzińskiego, — pęc, brzdęk — uważaj się za spoliczkowanego”. Awantura, afera honorowa, świadkowie, obustronny protokół. Spotkają się z bronią w rękę pod Wawrem...

Jednem słowem, drogi panie, przeżyliśmy szereg zająć parlamentarnych, później mieliśmy dla odmiany serję pojedynków dziennikarskich, teraz wkraczamy w nową fazę: afery honorowe i krwawe starcia o zamieniony kapelusz, o słoik musztardy, o krzesło w kawiarni. Przy lada okazji — średniowieczny sąd Boży na udeptanej ziemi. Ilekroć ten czy ów krewki i rączy Mainacht-Wnocmajewski dojdzie do wniosku, że jego żona powinna siedzieć tam, gdzie siedzi Kopernik, udaje się na placyk przed dawnym Karasiem, mówi głośno to i owo, poczem czeka w domu chodząc, jak Napoleon, po pokoju, aż mu astronom toruński przysle Mickiewicza i Poniatowskiego dla „ułożenia warunków”. Gdyby Kopernik stchórzył, nie zażądał satysfakcji i nie przysłał świadków bohaterskiemu przedsiębiorcy budowlanemu — jest raz na zawsze zarznięty w opinii publicznej. Musi emigrować z Warszawy. Nie reagował — koniec!

Dwie rzeczy mnie w tem wszystkiem zastanawiają. Po pierwsze — żyjemy w środowisku może najbardziej opryskliwem na świecie. Sam *hidalgo*,

Mainacht, otrzymuje i rozdziela od rana do nocy epitety, ^ood którychby zdębiał i oniemiał napewno nawet woziwoda (berliński), jego żona zbiera prawdopodobnie ogłoszenia i firma „Hinterluft i Paździerkiewicz” nieraz gestem stanowczym, zupełnie się nie krępując, wskazuje dumnej Otylji drzwi wyjściowe.— Skąd w tych warunkach bierze się w ludziach ten „ambit”, ta „honorność” i ten pęd ku harcom rycerskim? Dlaczego przedsiębiorca Mailuft, którego — wobec naszego braku poszanowania cudzej godności—obraża codziennie stróż, dorożkarz, szef, konduktor tramwajowy, majster, furman, wpada raptem w szal i biega z szablikiem po mieście, jak hiszpański grand, jak średnio-wieczny Don Juan Tenorio? Dlaczego zaprzęta swoją osobą opinię publiczną, na jakiej zasadzie pozuje na bohatera?

Najbardziej kulturalne narody tego globu — i tu jest punkt drugi, najważniejszy! — dzielni Amerykanie, dumni synowie Albionu nie znają zupełnie głupkowatych pojedynków. Jest ich — w sumie — ze trzysta milionów, mają najwyższą cywilizację, podbili połowę świata i — o dziwo! — nie *reagują!* Nie robią antycznego herosa z byle gburowatego Mailufta-Podmuchiwnajskiego, nie uznają zniewagi czynnej, protokółów, tużurków, dziur w powietrzu... Na uderzenie odpowiadają boksterskim pchnięciem pod dolną szczękę, czy prawe żebro — albo po prostu skargą sądową. Doszli do wniosku, że honor obywatela zależy od zupełnie innych czynników, a jego cześć i dobre imię nie może się wy-

łącznie i jedynie opierać na fakcie, że z pewnym gburem latał pod Wawer.

Jak w wielu innych wypadkach, tak i w tym, będziemy musieli stanowczo nasze stęchłe, feudalne poglądy cokolwiek przefasonować i przewietrzyć. Dosyć tych bzdurstw, panowie! Zorganizujcie sobie, jeśli już chcecie koniecznie, w waszych knajpach i salonach honorowe patrole, doraźne sądy obyczajowe i ostre pogotowia ratunkowe, ale nie zmuszajcie każdego Omtadralskiego i każdego Beuteltier-Kengurowicza, aby udawali Kmicica z Wołodyjowskim! W epoce, która wydała radjotelefon, Ligę Narodów, Bernarda Shawa i „Rotor” Flettnera!...

LAWINA

— Od kilku tygodni — mówił mi znajomy mój, dziennikarz i feljtonista — unikam własnego mieszkania... Doszedłem do wniosku, że w tym pokoiku, który sobie zwyczajem warszawskim „przy rodzinie” wynająłem, straszy. Tak jest, straszy. Przychodzę, dajmy na to o czwartej po obiedzie do domu, siadam na biednej, cudzej, wynajętej kanapie i drzemię. Już o piątej czuję wyraźnie, że nie jestem sam, że ktoś siedzi przy mnie... Otwieram oczy — Tajtelbaum! Czasem jest dwóch „ktośjów” naraz, przyczem jeden nazywa się Kegelsznit i jest poetą z miasta Łodzi, a drugi Zbigniew Coulicha, chce też wydawać pismo, ale dla odmiany, w Raciażu. Ma to być miesięcznik, poświęcony całkowicie kobiecie wykwintnej, estetyce życia i kultowi ciała. Kiedy pan Tajtelbaum i pan Coulicha, wyludziwszy ode mnie obietnicę, że im napiszę skrzęcy się dowcipem artykuł p. t. „Kobieta w samochodzie” wstaną wreszcie i pójdą — zjawia się natychmiast niejaki Ryps. Ow Ryps po głębszym namyśle postanowił się zająć brzydką połową rodzaju ludzkiego. Zakłada więc na Pradze dwutygodnik

p. n. „Don Juan podmiejski” — moda, sport, filozofia relatywistyczna, logogryfy, ogłoszenia matrymonialne i witaminy — ... W piśmie tem mam prowadzić dział p. t. „Figle historyczne” i szkicować portrety głośnych uwodzicieli. Ledwie zdążył pożegnać pana Rypsa — już się wyłania z mroków p. Warumnicht-Czemuniewski i angażuje mnie do czasopisma „Nie chodź po wsi” (dramat, taniec, algebra wyższa i odmładzanie starców). W organie tym mam pisać o mah-jongu i o bridge’u z plafonem.

Stanowczo coś niedobrego dzieje się w kraju. Jakiś wulkan, zmyliwszy czujność geologów, wybuchnął i rzyga bez przerwy zadrukowaną bibułą. Wyczerpaliśmy już na tytuły do czasopism wszystkie rzeczowniki—od „Ablegiera” do „Żrębiecia”, zużyliśmy wszystkie przymiotniki, zaimeki, imiesłowy i tryby rozkazujące i teraz powoli trwonimy nieopatrnie ostatnie części mowy—wykrzykniki. Istnieją już organy pod nagłówkiem „Cip... cip...”, „Taś-taś”, „A kysz”, Hm... hm...” i „Ojoj”. W podtytułach objechaliśmy wszystkie kierunki polityczne i zaczynamy wreszcie kraść napisy ze stacyj kolejowych, wydając oddzielnie pisma „dla pań” i oddzielnie „dla panów”. Wkrótce i te kombinacje się wyczerpią i grono nowych redaktorów będzie musiało powołać do życia specjalny organ „dla blondynów”, miesięcznik „dla mańkutów” i kwartalnik ilustrowany „dla osób, niewymawiających litery r”.

Najzabawniejsze jest to, że, mimo owej lawiny figlików, feljetonów, wesołych capricciów, frywolnych żarcików, żywot nasz jest coraz smutniejszy

i uboższy. Redaktor „Lowelasa”, rozstrzygnąwszy kwestję, czy dżentelmen powinien mieć marynarkę na dwa rzędy i czy może nosić spodnie w paski, kładzie na grzbiet wyszarzane palto i idzie na flaki do baru na Browarną. Redaktor „Wikwintnej pani z rajerem” ze względów od redakcji niezależnych ma tylko żółte półbuty do dyspozycji i studjuje życie towarzyskie na Karolkowej, gdzie dotąd jeszcze tańczą „polkę z fifem”. Współpracownik „Młodego sportsmana” siedzi w kantorze na posadzce od dziewiątej do szóstej i jego doświadczenia lekkoatletyczne i footballowe są właściwie dość skromne: raz zrzucił komornika ze schodów i raz podniósł własnoręcznie za ogon konia dorożkarskiego na rogu Koszykowej.

Ostatecznie treścią każdego pisma jest kronika — a nieciekawe wydarzenia w smutnej Warszawie dzisiejszej w żaden sposób pokryć nie mogą olbrzymiego zapotrzebowania. To też — ilekroć w jakim teatryku wystawia „Chatę za wsią” mamy — prócz zwykłych sześcioszpaltowych sprawozdań z ilustracjami — krótki artykuł p. t. „Chata” w miesięczniku „Rzeczy piękne”, studjum p. n. „Wieś” w kwartalniku „Widnokrąg” i rozprawkę p. t. „Kilka słów o przyimku „za” w „Poradniku dla wytwornych jakałów”. Jednocześnie zaś Omtardalski pisze bardzo dowcipnie o „Pani w chacie” (p. Nr. 3 tygodnika „Dziś i wczoraj”), a Dyrduła porusza bardzo poważne zagadnienia związane z literą ą („Dżentelmen w salonie” Nr. 4).

Wyobrażam sobie, jaki kłopot będzie miał z na-

mi przyszyły dziejopis. Z ogromnej góry dokumentów drukowanych wyciągnie wnioszek, że byliśmy gromadą wykwitnisiów, Petronjuszów, epikurejczyków, arbitrow elegantiarum — z jeszcze większej góry awizacji sądowych, obwieszczeń, protokołów i poprostu kwitów lombardowych przekona się, że jeden obdarty arbiter wybijał innemu obdartemu arbitrowi zęby w podejrzanym lokalu nocnym, że Petronjusz mieszkał na Szmulowiźnie bez prawa korzystania z wanny, a Chevalier d'Orsay sypiał w łaźni Fajansa i pożyczał na słowo honoru do jutra dwa złote pięćdziesiąt. Natomiast co się tyczy Madame Recamier, to nieprawdą jest, jakoby żyła w początku wieku dziewiętnastego. Przyszła na świat w Warszawie i tu w roku 1925 podejmowała w czwartki grono niedoszłych encyklopedystów naszych parówkami z chrzanem w gościnnych salonach swych przy ulicy Krochmalnej (porównaj czasopismo „Dama z rakietą”, numer gwiazdkowy).

W tym samym mniej więcej okresie bawią w Targówku i na Ochocie Maharani z Kochtaghiri, La belle Othero, Lola Montez i księżę Walji i oni to lansują mody, kopjowane później nieudolnie przez Zawichost, Londyn i Paryż.

GŁĘBSZY DRAMAT ŻYCIOWY

Próba jeneralna w jednym z bardziej komedjowych i bardziej dramatycznych teatrów warszawskich.— Aktor i aktorka.—Role—zmięte i zwinięte — w rękach. Wchodzą. Stają. Wokół—ponieważ to próba jeneralna—kilka krzeseł, starych kanap i stos podartych dekoracyj.

ONA. No, a gdzież mój mąż? Gdzie margrabia?

ON. (*woła*) Margrabia! Margrabia!

Mąż pani się spóźnił. (*Siada, ziewa*) Musimy zacząć.

ONA. Próbujemy tymczasem naszą scenę. Kulminacyjną! Akt drugi. Ja leżę na kanapie i drzemię. Pan wchodzi przez okno, trzymając klatkę z kanarkiem, własne ineksprymable i portret Napoleona Wielkiego...

ON. Jeżeli pani chce koniecznie... Boże, jaka to głupia sztuka.

ONA. Pani! co też pan mówi! To herezja. Głupia?! Sztuka Cotelette de Volaille'a! To najdowcipniejszy autor paryski w Warszawie!

Niech pan wchodzi przez okno.

ON. Jeżeli pani chce koniecznie. (*Ustawia krzesła, markując okno. Wchodzi*).

ONA. Co pan robi? okno jest tam!

ON. Tam? Przepraszam. (*Ustawia swoje stołki gdzieindziej*) „Co widzę! margrabina. Ta kobieta jest w moim guście. Per Bacco”. Pani mówi.

ONA. Jeszcze nie. Rzuca pan portret Napoleona Wielkiego i całuje mnie pan. Ale nie tu!

ON. Nie? Boże, jaka to głupia sztuka. „Piękna kobieta. Carramba”.

ONA. (*woła*) Margrabia!!

ON. Jakto margrabia? Dlaczego pani krzyczy? Pani nic nie mówi, pani drzemie.

ONA. Ale mąż wchodzi. Chwyta pana na gorącym uczynku.

ON. Racja. Chwyta mnie na uczynku.

ONA. Pan go wzywa na pojedynek. A ja przez ten czas drzemię. Ja wciąż drzemię.

ON. Słusznie. Ale jakże ja go wyzwę na pojedynek, kiedy szelma poszedł do Szwajcarskiej na kawę. Margrabia! (*Siada przy niej. Mówi serdecznie i z uczuciem*). Wie pani,—czasem, rano—mam takie uczucie dziwne. Taka jakaś chęć się we mnie rodzi. Chciałbym sobie zagrać coś tragicznego. Chciałbym odtworzyć coś w poważnym, serjo, głębokim, życiowym—kinodramacie.

ONA. Dlaczego właśnie w kinodramacie?

ON. Widzi pani, przedewszystkiem dlatego, że to, co człowiek gra przed aparatem pozostaje, nie ginie. Film to nieśmiertelność aktora. W teatrze gra pani dla kilkuset ludzi, dla zblazowanej zidjociałej krytyki, dla galerji. W kinematografie gra pani dla Wieczności! Dla potomnych! Dla Europy.

Dla świata — bez różnicy płci, wyznania, narodo-
wości, klasy.

Taka Liljana Gish. Mieszka to gdzieś w da-
lekiem Hollywood, je sobie teraz spokojnie pie-
czeń cielecą z nerką, a jednocześnie, w tej samej
chwili — wyciska ludziom łzy z oczu w Łodzi,
Chicago, Lublinie, Nagasaki, Zgierzu, Sydneyu i Pa-
bjanicach.

To jest prawdziwy triumf sztuki!

ONA. Tak, tylko, że ja nie wierzę, żeby można
było wzruszyć kogo do łez—na filmie, z płótna.

ON. Można! Ja sam widziałem, jak na „Miłości
z poza grobu czyli kwiatku z bagna" ludzie płá-
kali, jak te bobry. Sąsiadce mojej musiałem poży-
czyć chustki do nosa, której mi nawet nie oddała,
tak była wzruszona!

ONA. Ależ—przez litość—czy można się wzru-
szać, patrząc na aktorów, którzy ruszają paszcza-
mi, jak rekiny, i nic nie mówią! Wyobraźmy sobie,
że pan ma grać Hamleta w kinematografie! Mówi
pan słynny monolog—no i co z tego pozostaje?

ON. Hamleta i monologu nie zagram. Literatury
żadnej nie wygram. Ale bo co to Hamlet, proszę
pani? Stara kobyła białym wierszem. Aktor współ-
czesny ma inne zadania. Poważniejsze! Szczytniej-
sze! Niech pani sobie wyobrazi taką historję. O!
(*Zrywa się. Rozrzuca stołki. Gra, jakby duch Psylan-
dra w niego wstąpił. Z ogniem, z werwą, z przejęciem*).

Fabryka giętych mebli. Ja jestem właścicielem.
Cylinderek, laseczka. Bogaty, ale smutny. Pani zgła-
sza się do kancelarji po posadę. Wynędzniała, ob-

darta, suknia w strzępach, lakierowane pantofle. Twarz blada, jedwabne pończochy. Otrzymuje pani posadę i robi pani wyplatany stołek. Służę pani. O!

ONA. Co mam z tem począc?

ON. Niech się pani stara wrócić na uczciwą drogę—niech pani wyplata stołek. Więcej gry w twarzy, niech pani przewraca oczami. Dobrze.

Ja idę do fabryki. Cyłinderek, laseczka. Bogaty, ale smutny.

Spostrzegam panią, pani—mnie. No?

Spuszcza pani oczy. Piers pani faluje. Dalszy ciąg za chwilę.

Wychodzi pani z fabryki. Ja za panią. Idziemy. Ktoś na panią napada. No?

ONA. Rozumiem. Przerażenie. Oczy w słup. Co?

ON. Właśnie. Usta szeroko rozwarte. Piers faluje. Ja nadbiegam. Chwytam nędznika za kark. Odrzucam, jak słomiany wiecheć... Ukłon. Cyłinderek. Laseczka. Odprowadzam panią. Rozmowa. Szeroko usta, szeroko!

ONA. Dobrze tak?

ON. Doskonale! Niedziela. Pani siedzi z robótką przy oknie. Ja wchodzę. Bukiet. Rozmowa.

ONA. (*rusza szczękami*). A o czem my mówimy?

ON. Wszystko jedno. Byłe usta szeroko, jak u dentysty. Najlepiej jest mówić o-aza, a-utor, E-ufrozyna, ko-operatywa. Chwytam panią za rękę.

ONA. Spuszczam oczy. Robótka mi wypada z dłoni.

ON. Ja coraz gwałtowniej. O-aza, a-utor, epi-
zo-otja.

ONA. Zo-ologja, ko-optacja...

ON. Ko-operatywa?!

ONA. Tak.

ON. Całuję panią—pani ma dziecko.

ONA. Jakto, proszę pana? Skąd?

ON. To się wyjaśnia w czasie, kiedy ja wychodzę do fabryki. Pani opiera się na komodzie. Widać pampasy w Ameryce południowej, gdzie dziecko pani jest na garnuszku u obcych ludzi.

ONA. Któż jest ojcem mojego dziecka?

ON. Niewiadomo. List to wyjaśni!

ONA. Niech mi pan powie przynajmniej — syn czy córka?

ON. Nie mogę! List to wyjaśni!

Uwaga! Część druga. Idziemy do mera! Do kościoła. Pobieramy się. Uczta. Zdrowie młodej pary. Bal. Schody. Idziemy do naszych komnat. Lokaje za nami. Świece, pochodnie, rekwizyty, reżyserja—to nas nie obchodzi.

Nareszcie sami. Rozmowa.

ONA. Stajemy obok siebie. Prawda? Ja odrzucam welon. Ko-operatywa, a-utor—plezjozaur?

ON. O-aza, o-aza!

Całuję panią—pani ma dziecko.

ONA. Jakto?

ON. Po pauzie. Oczywiście [po pauzie. Część trzecia.

ONA. Rozumiem! Kołyska—my nad nią pochyleni. Szczęście rodzinne.

ON. Właśnie. Ja biorę panią w ramiona, [po-czem idę fabrykować gięte meble.

ONA. Ja zostaje sama. Wtem—list!! Aaaa! Ten nędznik żąda pieniędzy!

ON. Tak. Nędzny uwodziciel żąda pieniędzy. Jest to mój brat przyrodni, więc ja go muszę grać.

Przychodzi. Śmieje się. Ha-ha. Rzuca się na panią, na kołyskę.

ONA. Ratujcie dzieci!

ON. Tak. Ja wpadam—mąż! Chwytam nędznika, wyrzucam go przez okno...

ONA. Jakto? Samego siebie?

ON. Oczywiście. W kinematografie można. Biorę panią w objęcia.

ONA. Spostrzega pan list. Tam—na podłodze.

ON. Czytam. Ha! Niewierna! Shańbiłaś mnie i moje gięte meble! Precz! Jeszcze bardziej precz, niż na wiecu. O-aza, a-utor — ole-ander! Wychodzę!

ONA. Padam na stół—na stołek—wyrrywam sobie włosy z głowy.—Ole-ander!

ON. Ja wychodzę stanowczym krokiem. Hej tam! Konia! Siadam na koń i wyjeżdżam do pampasów Ameryki południowej.

ONA. Ja rozpaczam—kaszlę—wreszcie wstępuję do kabaretu, jako tancerka hiszpańska. Ollé! Ollé!

ON. Przez ten czas ja—mąż—poluję w pampasach na grubego zwierza. Mija lat piętnaście. Część czwarta. Obszary, porośłe trawą. Banda dzikich cowboyów napada na mnie. Walczę. Słaniam się. Byłbym zginał, ale syn pani ratuje mi życie.

ONA. Więc ja miałam syna?

ON. Syna. Porywa mnie na konia i wiezie. Szlachetny młodzian. Jedziemy.

ONA. Ja przez ten czas występuję w kabarecie. Ollé! powodzi mi się. Mam własną willę. Jadę do własnej willi własnym samochodem.

ON. Szalona szosa w pampasach! Spotykamy się. Syn, pani, ja, koń. Koń, nieprzyzwyczajony do samochodu, staje dęba. Wysypujemy się ja—syn—koń—

ONA. Wyskakuję z samochodu. Klękam! Załamuję ręce! Przebóg! O-aza, epizo-otja. Eufrozyna!! Ładuje pana i *jego* do samochodu! Jedziemy. Willa. Salon. Składam pana na otomanie.

ON. Leżę i drzemię. W głębi syn pani romanсуje z córką pani. Kochają się, pobiorą się.

ONA. Ależ panie?!

ON. W kinematografie można. Pobiorą się, dostaną dyspensę. Zresztą mnie to nic nie obchodzi. Leżę i drzemię — jestem raniony przez cow-boya i prócz tego wywalilem się na szosie. Pić!

ONA. Ja czuвам przy panu w kostjumie tancerki hiszpańskiej, Carramba!

(*Margrabia*).

MARGRABIA. „Wicehrabio! Jak pan śmie! To moja żona!” Hę? Co wy wyrabiacie? Pani powinna leżeć na kanapie!

ON. Wszystko jedno, kto leży na kanapie!

MARGRABIA. Ależ bójcie się Boga, co to ma znaczyć? Wpadam na Carramba i co widzę? Cała sytuacja na nic! Zlitujcie się — przecież w sztuce jest inaczej!!

ON. Ale tak jest w życiu! To jest dramat życiowy. Uważa pani! To nie ginie! To pozostaje po wsze czasy jako dokument naszej kultury artystycznej... Pokolenia to podziwiać będą. Epizotja, au-tor!

BARWNA SZTUKA HISTORYCZNA

Arcydzieło w jednej odsłonie

(*Aktor. Aktorka. On — kroczy jak na bohatera sztuki historycznej przystało. Parademarsch, melonik pod pachą, laseczka zamiast szpady. Ona usiłuje dreptać, jak dreptały prababki).*

On. (mówi oczywiście wierszem trzynastozgłoskowym).

Hermenegildo. Bóstwo. Siadaj tu, na ławie,
Ja zaś — księżę i pan twój — stólek se
[przystawię.

Zaraz! Jak pani siada? Przecież pani ma na sobie krynolinę, robrony, szynszyle, gronostaje i stokfiksze! Pani chce sobie to wszystko tak poprostu przysiąść i już?

Ona. Nie chcę być Hermenegildą. Proszę do mnie nie mówić w ten sposób! Krynoliny nie włożę, bo to mnie pogrubia.

On. Pani! Bądźmy rozsądni! Przecież już tłumaczyłem pani przed chwilą, że tu nie chodzi o żart niewczesny, ale o rzeczy poważne. O karierę artystyczną!

Ona. Gadanie.

On. (*groźnie*) Czy w Teatrze Polskim, Praskim, Letnim, Powszechnym grają dwie kobyły historyczne na sezon, czy nie grają? Hę? Czy farsa sięgała do naszej przeszłości czy nie sięgała?

Ona. Sięgała, a ja krynoliny nie włoży!

On. *Silentium!* Czy na Karowej, Lesznie, Kaliksta, i u rzemieślników-chrześcijan oraz u subiektów wyznania mojżeszowego pokazują „tło dziejów naszych“, czy nie pokazują? Pani myśli, że pani tak będzie latała po scenie? w takiej sukni? Ogoniek, bufki, dekolcik? Minęły te czasy! Pani nie wie dnia ani godziny! Jutro pani każą grać współczesną tragedję historyczną Chwat-Czyńskiego i Gracjana Pyrka z epoki bitwy na Psim Polu. W tułupie pani będzie chodziła, w samodziałowej kiecce!

Ona. Ale nie w krynolinie.

On. Odrzuca pani rolę? Dobrze. Czem pani chce być? Uprzedzam, jeżeli się pani tych gestów—od się, k'sobie—nie nauczy, jeżeli pani głosu na przedęty patos nie nastawi, to pani jest sceny dla stracona! Więc?

Ona. Ja chcę być Katarzyną drugą.

On. ?

Ona. A tak. Wypożyczę płaszcz od Schneidra i będę przewrotna. Spostrzegam pana na balu, pan ma krótkie spodnie i lakierowanie pantofle, więc osadzam pana na tronie. Pan będzie Stanisławem Augustem.

On. Krótkie spodnie! Stanisław August! To już sto razy było!

Ona. A ja się na nic innego nie zgadzam. Albo albo.

On. Pan! Pogódźmy się. Ja coś ustąpię, pani coś ustąpi. Będzie pani — panią Walewską.

Ona. A pan?

On. Ja będę Napoleonem Wielkim. Kapelusik wpoprzek, ręce na krzyż. Mówię krótko, lapidarnie, pani się we mnie kocha, a ja jestem zesłany na Ś-tą Helenę. Zaczynamy. Pani deklamuje lirycznie i od rzeczy.

Ona. Nie chcę! Sobie pan bierze Napoleona, a mnie pan daje jakiś ogon!

On. Pani Walewska to ogon? Też pogląd na historję!

Ona. No pewnie! Jeżeli mam deklamować lirycznie od rzeczy!..

On. We współczesnych sztukach historycznych kobieta zawsze mówi od rzeczy. Na tem polega ścisłość dziejowa!

Ona. Tak. A mężczyzna przez ten czas ginie dla kraju i ma brawa przy otwartej kurtynie!

(Pauza)

On. Pan! Ostatnia propozycja! Słucha pani, czy nie? Więc tedy — uwaga! Rzecz dzieje się w wieku — wszystko jedno w jakim wieku: między szesnastym i kwadrans na dziewiętnasty. Pani jest margrabina, a ja jestem ksiązę...

Pani pochodzi z najszlachetniejszego rodu. Nazywa się pani mocno historycznie — margrabina Raciążer.

Ona. Doskonale.

On. Nareszcie! Proszę o tragiczny wyraz twarzy i bolesny uśmiech! Akcja, jak w każdej współczesnej sztuce historycznej, jest bajecznie prosta: niema jej wcale. Dialog toczy się natomiast między podręcznikiem szkolnym a Encyklopedją Orgelbranda.

Ja jestem nader wybitny bohater i posiadam mocne, głośnie w dziejach nazwisko.

Ona. Nazywa się pan — książę Romuald Gierasieński.

On. Właśnie. Jestem piękny, ale płochy.

Ona. Współcześni przewalili pana — uroczy Bdyś.

On. Tak jest. Piję tedy i gram w karty, a tymczasem... Pierwszy akt! Statyści w kostiumach od Dłutka gadają głupstwa. Ekspozycja. Ja wchodzę. Błady, niewyspany. Monolog:

Nigdy już, nigdy grać nie będę w klubie!

Tam kraj mnie woła a tu ktoś mnie skubie.

Przegrałem w baka, a nawet w pokera,

Sumę, co zera *trzy!* w sobie zawiera!

Ona. Pauza! Moje wejście!

On. Tak. Lokaje w kostjumach, projektowanych przez prof. Cebrzyka, anonsują: Diana, margrabina Raciążer! Ja chwytam się za serce i wołam: „ona”, ponieważ wiadomo powszechnie, żeśmy się poznali na balu dworskim w Berdyczowie, gdzie powziąłem dla pani afer — nie afekt...

Ona. Wchodzę! Ty tutaj, książę?! A tam, w Berdyczowie, zdrada się lęgnie... Rym! Panie! Rym! Prędzej!

On. Berdyczowie? (*gest szeroki*). Odejdźcie, panowie!

Ona. Wodzu! Ja wracam z kresów! Tam już wróg naciera! A książę pan w stolicy się zgrywa w pokera. Ha!

On. Przegrałem sumę, co zera trzy w sobie zawiera!

Ona. Tam pożoga, głód, wojna. Ty spoczywasz gnuśnie. Zamiast czynić i działać!? Toć publiczność uśnie?!

On. Stój pan! Klnę się na tę szpadę, że dziś stałuję *sleeping* i na kresy jadę!

Ona (*klęka*). Jakiś ty piękny, wzniosły! Nim ruszysz, weź broszkę... W niej amulet — tu płaczę...

On. Zawołać dorożkę! Pani szlocha, ja wyjeżdżam. Oklaski. Zmiana dekoracji. Drugi akt! „W obozie”.

Ona. W jakim obozie?

On. W moim obozie na kresach. Nie pamięta pani z czasów szkolnych? Słynna bitwa pod Skolimowem! Ogniska! Żołnierze — w kostjumach podług Gembarzewskiego. Dużo generałów. Chodzę i myślę.
Monolog:

Mości panowie! Dziś zatem, jak jest we

[zwyczajaj,

Mamy odnieść zwycięstwo lub zginąć dla

[kraju.

Nim słońce krwawo zajdzie — już będzie po

[fakcie.

Zwyciężymy! Bo któżby miał grać w trze-

[cím akcie!?

Brawa przy otwartej kurtynie! Osiemdziesiąt przedstawień, nie licząc popołudniówek, świąt i dni galowych. Poco za te głupstwa płacić tantjemy, kiedy to można improwizować?

Ona. A ja? Ja tu wcale nie gram?

On. Pani — podczas kiedy ja zwyciężam — charakteryzuje się do trzeciego aktu. Spotykamy się, po latach, na wygnaniu, w 'miejscowości kąpielowej, w wodzie... Oboje sterani życiem...

Ona. Nie chcę! Pan sobie gra w kwiecie wieku, a ja mam się pokazywać sterana życiem? Nie!

On. Ależ pani! Cudowna scena! Liryczna! Pożegnanie! Szczery sentyment! Jesteśmy oboje w kostjumach kąpielowych, mimo to poznajemy się na pierwszy rzut oka. Ja mówię: ach! Odwracam się do publiczności. Monolog przed rampą:

Byłaś mi życia szczęściem i osłoda...

Żegnaj! Tu daję nurka i znikam pod wodą!

Ona. Nie zgadzam się! Odrzucam rolę! Ja nie mam historycznego kostjumu kąpielowego! Scenę końcową trzeba zmienić!

On. Pani! Dla kostjumu mamy paczyć intencje młodego poety? Młodego Rasyna warszawskiego? To byłaby profanacja!...

*(Reszta — dla braku miejsca tudzież papieru —
w jednym z teatrów stołecznych).*

WARSZAWA

DUCHY W MIEŚCIE

— Przychodzi do nas przeważnie w godzinach wieczorowych — mówił człowiek zupełnie solidny, ojciec dzieciom i fotograf z zawodu. — Jest wzrostu małego, tak, że tylko głowę widać nad stołem. Głowę ma dużą, baloniastą. Widział go Wicek, Józefowa, moja żona, tapicer. Nie mówi nic, siada, siedzi. Czasem przestawia sobie meble w salonie. Fotel gdzie kanapa, kanapa gdzie puf. I teraz dopiero, kiedy mieszkanie kupiłem, powiadają mi, że go znają, że o nim wiedzieli. To jeden z poprzednich lokatorów, emeryt. Dziewięć tysięcy za te cztery pokoje na Nowowiejskiej zapłaciłem—i, patrzcie państwo, nikt mnie nie ostrzegł! Nikt pary z ust nie puścił! To jest uczciwość ludzka i solidność kupiecka. Tylko w Warszawie takie oszustwo bezkarnie ujść może. Sprzedać komuś za takie pieniądze mieszkanie — z duchem. Czyby to gdzie zagranicą policja na coś podobnego pozwoliła?

Chwila milczenia... Wreszcie malarz odsapnął i rzekł:

— Musiał być straszny idjota ten z baloniastą

głową. Wracać z tamtego świata na Nowowiejską! Jabym się osiedlił w Paryżu.

Poczem rozmowa potoczyła się dość wartko i przyjemnie. Mówiono o Czarnej Damie z Powązek, o Czarnej Ręce p. Pieńkowskiego, o deklamacjach Deotymy na seansie z Guzikiem, o broszce, którą inżynier Osemkowski odnalazł telepatycznie, siłą wyobraźni, w kieszeni pewnego urzędnika. Przypomniano sobie fakt, wielokrotnie przez świadków stwierdzony, że Fajgenblat, dentysta, potrafi się na zawołanie rozdzielić, przyczem jedną połowę jaźni siedzi blady, jak widmo, na premjerze w Qui-pro-quo, a drugą — u narzeczonej, na Krochmalnej.

Niejaki p. Dzieżkowski, wzdrygając się jeszcze i teraz na samo wspomnienie, opowiadał szeptem, jak to w kilka miesięcy po najściu bolszewików walczyć musiał po całych nocach z jakimś Dyrdułą. Ów Dyrduła zginął był już dawniej — w czasie wojny światowej. Ale niewiedomo dlaczego zjawił się znów po latach kilku i, chcąc zaspokoić — dość zrozumiałą w jego położeniu — żądę materializacji, postanowił osiedlić się w nim, Dzieżkowskim, i wysiudać podstępnie właściciela prawnego z jego powłoki cielesnej. Okrutne zapasy trwały przez całe dwa tygodnie: czasami przychodził do kawiarni Kresowej Dyrduła i robił przeróżne świństwa w imieniu Dzieżkowskiego, czasami znowu Dzieżkowski, uzyskawszy cudem prawo eksmisji, wyrzucał z własnego ciała Dyrdułę i szedł na miasto dla załatwienia pilniejszych interesów. Sprawa zaostrzała się coraz bardziej — aż raz

wreszcie Dyrduła charakterem Dzieżkowskiego napisał weksel na sto milionów marek i artykuł wstępny do gazety „Dwa Grosze”.

— Tu — rzekł Dzieżkowski — zebrałem resztki sił, przeczytałem dzieła wielkiego Eliphasa, poszedłem na odczyt popularny p. t. „Yoga”, zastosowałem środki radykalne. Dyrduła uciekł, zabrawszy mi złoty zegarek, jedną akcję żyrardowską i obrazek Rembrandta „Napoleon pod Berezyną”. Cóż pan na to, panie doktorze?

Dr. B., jeden z najzdolniejszych u nas psychoanalityków, uśmiechnął się łagodnie.

— Fakty, o których państwo mówią, obchodzą więcej filozofa i publicystę, niż psychiatrę. Stwierdzają bowiem poprostu raz jeszcze tę dość znaną teorię, że największe prawdy powstają i giną po kilkunastu latach — a głupstwo trwa wiecznie. Czy ludzkość w postępie swoim zgubiła kiedy jaki absurd po drodze? Wszystkie gusła, zabobony i brednie kwitną sobie wesolutko naokół. Od lat czterystu mamy teorię Kopernika, mamy astronomję, astrofizykę, — ciała niebieskie znamy, jak zły szeląg, wiemy, czym są i czym my wobec nich jesteśmy — a w cukierence narożnej siedzi i dziś jeszcze przy stoliku domorośli astrolog, prawi o słońcu w dwunastym domu, o Jowiszu, który źle wpłynął na noworodka, o gwiazdozbiorze Wagi, który Dyrdułskiemu przeszkodził w sprawach erotycznych. Medycyna rozporządza dziś promieniami ultrafioletowymi, prześwietla tkanki nawskroś promieniami Roentgena, a w każdej wsi praktykuje znachor i leczy rany okadzaniem, zdrowaśka i dy-

mem jałowcowym. Socjologia od wieków zmudnie prawa ustala, a w każdej gazetce dwugroszowej jakiś owczarz polityczny chwali się, że ma środek niezawodny na wszystkie kryzysy ekonomiczne.

Na dobrą sprawę — mam nawet wrażenie, że właśnie teraz, właśnie dziś, po tylu wiekach pracy i kultury, bogini *Stultitia*, o której już Erazm z Rotterdamu bardzo pochlebnie pisał, więcej ma wyznawców, niż kiedykolwiek. Całe tłumy manjaków — nie mówiąc już o zwyczajnych idjotach — biegają luzem po mieście, wszczynając zamęt i harmider. Ten się nogą stołową porozumiał ze Słowackim i wie jak ratować kulturę polską, ów w przepowiedniach z wieku XVI-ego znalazł przepis na podniesienie kursu waluty, inny na prorocत्वach Wernyhory chce oprzeć regulamin sejmowy, formularz pasportowy i cyrkularz w sprawie rejestracji obóć zarodowych.

Maluczko — a będziemy musieli w stołecznem mieście Warszawie zafundować sobie zupełnie nowy rodzaj Pogotowia Ratunkowego. Lekarze dyżurni będą jeździli karetkami po ulicach, udzielając metodą Freuda natychmiastowej pomocy psychicznej.

Zaoszczędzimy w ten sposób sporo pracy i trudu publicystom, którzy — mojem zdaniem bezowocnie — usiłują przekonać okazowych, klinicznych manjaków i histeryków argumentami logicznymi. Taki argument — właśnie dlatego, że jest słuszny — działa w wypadkach, o których mowa, najgorzej, bo umacnia pacjenta w jego warjackiej *idée fixe*.

HIGH LIFE

Już prawie wszystkie tygodniki i miesięczniki, wprowadziły ten dział; artykuły o modach i feljetyony pod tytułem „wełna zwycięża” albo „jedwab czy velour” albo wreszcie „trykot a dekolt” należą do najpoczytniejszych, język literacki pstrzy się, mieni, połyska od *granatowych gabardin, ukośnych plisek, lam, dżetowych gałek, czarnych welwetów* i innych mocnych wyrazów, których człowiek normalny — nawet ze słownikiem w ręku — zrozumieć nie może. Warszawa traktuje najwidoczniej zupełnie poważnie swój komiczny sobriket-przezvisko, ma się na serjo za „Paryż Północy” i próbuje zaawansować na stolicę mody. Niechże i tak będzie, owszem. Jedno tylko mnie, jako bądź co bądź mężczyznę, martwi i gryzie. Wciąż jest mowa o wycięciach, podpięciach, biodrach, krynolinach, malinowych gazach, toczkach, nikt natomiast nie myśli u nas o cylindrach, melonach, smokingach, cut-awayach i poprostu spodniach. Dlaczego poprzestajemy na kostjumach damskich?! dlaczego aspiracje nasze ograniczamy do „Paryża Północy”, kiedy moglibyśmy za jednym zamachem zostać

również „Londynem Wschodu”? Dlaczego wysilamy się tak bardzo „dla pań” i nie robimy nic „dla panów”?

„Wygotowałem” w tej sprawie memorjał i przedłożyłem go, jak zwykle, jednemu z najwybitniejszych ekonomistów młodszej generacji, Hilaremu.

Młody erudyta wysłuchał mnie uważnie, namyślił się i rzekł:

— Masz zupełną rację. Przyszłość nasza to — konfekcja *męska*. Tam, gdzie o toalety kobiece chodzi, kopujemy poprostu niewolniczo wzory zagraniczne. Pomysłowość, genjusz rodzimy zaznacza się dopiero w naszych strojach *for gentlemen*. W tej dziedzinie pracuje twórczo cała inteligencja kraju, tu działamy owocnie wszyscy — robociarz i profesor wszechnicy, artysta i nauczyciel kaligrafji. To też już dzisiaj osiągnęliśmy rezultaty, których Europa, ba, Ameryka! pozazdrościć nam może. Roi się od nowych a śmiałych idei, nieoczekiwanych zestawień, symfonij barwnych. Oto przykład jeden z wielu. Spotkałem wczoraj Mundzia, który, jak ci wiadomo, jest docentem uniwersytetu i pozornie kwestjami tualetowemi interesować się nie powinien. A jednak — ten człowiek wyszedł na ulicę — w zadymkę i mróz — specjalnie poto, aby lansować nową modę zimową. Marynarka zielono-szara, wykonana całkowicie z pokrowca na meble, spodnie z tak zwanego brezentu albo rogózki. Do tego pantofle tenisowe z podeszwami ażurowemi. Na ramionach narzutka, lekko marszczona, przerobiona z kołdry, do której jakaś dobrotliwa ręka przymocowała

guziki rogowe. Całość podszyta wiatrem. Kapelusik — ze względu na dziesięć stopni mrozu — *canotier*, słomkowy. Nie wiem, czy się ten kostjum powszechnie przyjmie, ale wiem, że jest przynajmniej oryginalny i nieskopjowany z londyńskiego „Tatlera”. Kilka dobrych pomysłów miał inny nasz inteligent, jeden z bardziej znanych plastyków, krytyk, publicysta, esteta, człowiek wogóle dużych zasług i wytrwały pracownik. Oto jego kreacja. Bluza, zapięta wysoko pod szyję na agrałkę — bluza, która czyni zbytecznymi koszulę, kołnierzyk i mankiety, — ineksprymable — szarawary albo „juppe-culotte”, w razie silniejszych mrozów — lekka palerynka zakopiańska. Na nogach kalosze, w których dziury tak są rozmieszczone, że nie koincydują z dziurami w butach. Nakrycie głowy — parasol.

Im głębiej się nad tą sprawą zastanawiam, tem jaśniej widzę, że jakiś gwałtowny ruch estetyczny szerzy się w kraju. Tak zaniedbani dawniej poeci, literaci, publicyści zaczynają nareszcie myśleć poważnie o swojej powierzchowności. I trzeba przyznać, że niektórzy osiągnęli bajeczne wyniki kolorystyczne. Oto na przykład kilka kostjumów wieczorowych. Czarna marynarka z jedwabnym kołnierzem szalowym, przerobiona ze smokinga, kamizelka barchanowa w rzucik, do tego spodenki krótkie tyrolskie, na łydkach owijacze, na stopach pantofle ze skóry, zdartej z dawnych roczników „Chimery”. Jako strój wizytowy przyjął się w ostatnich czasach żakiet, nicowany na trzecią stronę, albo cut-away, przerobiony z tużurka. Jeden wyróżnia się

ogromną ilością kieszeni w zupełnie nieprawdopodobnych miejscach, drugi posiada szwy we wszystkich kierunkach geometrycznych. W bieliźnie po prostu — nowa wiosna! Jaki dobór kolorów, jaki śmiały zwrot ku nowym horyzontom! Do fraka kładziemy przeważnie barwną miękką koszulę sportową z przypiętymi do niej białymi, sztywnymi mankietami. Noszenie samych tylko mankietów i kołnierzyka, bez koszuli, modne jest jedynie w sferach postępowych tudzież wśród nauczycieli muzyki. Zresztą wydam wkrótce niewielki traktacik matematyczny p. t. „Maximum dziur w całym”, gdzie mówię szerzej o bieliźnie naszej inteligencji. Odsyłam cię do tej pracy źródłowej.

ABDERA PÓŁNOCY

— Przechodzę późnym wieczorem przez Krakowskie Przedmieście — mówił podczas słynnego „Kongresu” kolega mój heidelberski, dr. K. — i raptem słyszę podejrzany rumor pod Kopernikiem. Zbliżam się do pomnika — naturalnie! Stało się, co się stać musiało! Astronom toruński pakuje swoje planetarium do futerału, zbiera graty i cichy, milczący, jak zawsze, ma właśnie zamiar jeszcze przed nową podwyżką kolejową drapnąć chyłkiem z Warszawy.

Przyznacie, że trudno mu się dziwić. Siedział przez tyle lat na słupie, otoczony, że tak powiem, nieomal powszechnym szacunkiem, a dziś — to po prostu jedyny u nas w mieście i kraju przedstawiciel owej *nauki oficjalnej*, o której z takim przekąsem i taką pogardą mówią starsze panie i bladzi panowie w pobliskiej auli uniwersyteckiej, to ignorant, któryby ani listu w zamkniętej kopercie odczytać nie potrafił, ani ektoplazmą przez ścianę pociemku, z dwumetrowej odległości na pozytywce zagrać nie umiał, ani na tamburynie *mit einem gliedartigen Auswuchs* zabębnić nie zdołał. I co —

wogóle — tak zwana nauka oficjalna ludziom przez tyle wieków dała? Jakies fale elektryczne, radiotelefony, pierwiastki promieniotwórcze, teorie Einsteina — poco to komu?

Bankructwo na całej linii i zaprawdę bliski jest dzień, kiedy wszystkie zbyteczne dynamo i anteny z warszawskiej radiostacji wyrzucimy, a na ich miejscu medjum, Barbarę Ubryk (Podwale 34), posadzimy i ta właśnie Barbara, zamieniając naszego Pata na Telepata, depesze prasowe, psychicznie, napięciem woli agencjom zagranicznym komunikować pocznie.

Zaprawdę bliski jest dzień, kiedy lekarze nasi, skoczywszy po rozum do głowy, rury roentgenowskie o kolano potłuką, barbarzyńskie aparaty prześwietlające z klinik usuną, a natomiast wezwą do pomocy pana Dyrdałę, dentystę-jasnowidza, który, przyłożywszy dłoń pacjentowi, gdzie trzeba, powie głośno i wyraźnie: „Widzę! Widzę dokładnie. W lewej kieszeni zegarek firmy Omega, kwit lombardowy Nr. 338 i paszport krajowy, na wątrobie zaś guz wielkości jaja kurzego. W kieszeni od spodni kluczyk.”

Zaprawdę też świta już dzień, kiedy przestarzałe, nędzne metody tak zwanych nauk ścisłych z naszych szkół i uczelni „żelazną miotłą” wymieciemy. Poco komu dowody, które niczego nie dowodzą? Nauczyciel geometrii zgromadzi swoich uczniów wieczorem w ciemnym pokoju, każe im się wziąć za ręce, utworzyć łańcuch i czekać, póki się nie przekonają, że zamknięty fortepian gra, skrzypce

latają w powietrzu, a suma kątów w trójkącie równa się czternastu prostym. Profesor prawdziwie nowożytnej matematyki nie będzie paskudził tablicy kredą i zagważdzał mózgów wywodami. Powie słuchaczom poprostu: „babka moja, osoba zupełnie wiarogodna, miała raz wypadek następujący. Coś ją z łóżka podnosi i prowadzi do jadalni. Tu portret nieboszczyka jej męża raptem spada z gwoźdźcia, przyczem głos tubalny z kąta pokoju się rozlega: Leokadjo! kwadrat przeciwprostokątnej równy jest sumie kwadratów przyprostokątnych, pamiętaj! — Od tej chwili to twierdzenie nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości.”

I wykład historii uprościmy znacznie. Damy dymisję wszystkim belfrom, spalimy książki i tablice chronologiczne. Poco komu podręczniki? Medjum, Janek Cymbergaj (Waliców 14), przyjdzie na seans, urobi dzieciom z ektoplazmy Napoleona Pierwszego i każe mu gadać dokładnie, jak i co było i po *kje cholere do Moskwy laźł*. Podniosły nastrój, mistyczna ciemnia na sali, fioletowe światełka sprawia, że te dane historyczne łatwiej się we wrażliwych mózgach dziecięcych utrwała, niż podczas suchego wykładu szkolnego.

Przyrodoznawstwo zaś powierzmy całkowicie niejakiemu Frycowi Grunewaldowi ze zjazdu metapsychików. Co ten inżynierek nieszczęsny w swoim referacie godzinnym o jakimś kawałku cukru z roku 1913-go opowiadał — tego doprawdy umysłem ogarnąć nie sposób. Taki kawałek cukru, jeżeli go potrzymać w ręku, skoncentrować na nim

wolę i wpłynąć nań psychicznie — rozpuszcza się w wodzie, albo nie, traci na wadze, albo zyskuje na wadze, czasem się podwaja i wogóle kpi sobie ze wszystkiego, co wiemy o cukrze.

Jak to odkrycie wpłynie na rozwój przemysłu i handlu! Jednym zamachem wyzbywamy się drożyzny i wszelkich kłopotów! Pan Grunewald idzie na stację towarową, *skupia wolę* na wagonie, który nadszedł z cukrowni „Częstocice” i — patrzcie państwo — zamiast jednego wagonu są dwa! Produkcja rośnie, ceny spadają na łeb, cały świat jest zawalony cukrem. Grozi nawet przesilenie z tego powodu, ale sprytni fabrykanci zamawiają sobie pana Grunewalda (Fryca) na seans, obiecują mu bajoniskie sumy i proszą o radę. Pan Grunewald kiwa głową, bierze pieniądze, *skupia wolę* i rozkazuje cukrowi, żeby się nie rozpuszczał! Tu nowa rewolucja. Dawne zapasy tracą wartość, popyt rośnie, akcje idą w górę, ludzie zarabiają miliardy... Właściwie mówiąc, nasz los, nasz byt — wszystko jest w ręku pana Grunewalda!

A to zaledwie *jeden* i nie najlepszy z dwudziestu delegatów, którzy na kongres warszawski przybyli, tu entuzjastycznie przez władze i ministerja witani, podwalinami wiedzy wstrząsnęli i teraz sławę naszego grodu, naszej poczciwej Abdery Północy, po szerokim świecie rozniosą.

Czem wobec tych tytanów, wobec Grunewalda, Kulebiaka, Frączaka, byli Newton, Kopernik, Galileusz? Co my, biedacy, których nawet na normalnego przeciętnego uczonego nie stać, przeciwstawić

możemy olśniewającym zjawom takiego Schrencka-Notznika i jego guzika, Willy Schneidra?

Przypomina mi się tutaj — nie wiem dlaczego — pewien skromny fizyk duński, nazwiskiem Oersted. Po kongresach nie jeździł, plazmą nie świecił, aktorom w głowach nie przewracał, na zamkniętych fortepianach nie grywał, Zauważył sobie, że małeńki magnesik drga w pobliżu prądu elektrycznego.

Kilkadziesiąt lat od owego dnia minęło — wykreślcie dziś obserwację Oersteda z naszego dorobku, a życie zamrze na tym globiel Tramwaje staną, lampy łukowe zagasną, telefony zamilkną, kina znikną, — bo wszystko powstało z tej drobnej, niepozornej obserwacji, całą elektrotechnikę temu „fakcikowi” Oersteda zawdzięczamy.

Od dziesiątków i setek lat niesłychane cuda na seansach się dzieją, stoły wirują, pozytywki grają, krzesła latają. — Tylko, jak mi mówiono, sowitej, nagrody, wyznaczonej przez pewnego przemysłowca szwedzkiego za podniesienie popielniczki na wysokość kilku centymetrów siłą nieznaną, „nadprzyrodzoną” — nikt jeszcze nie dostał.

Wielu było powołanych, mało wybranych, a najwięcej oszustów.

PIETRZAK

Pan Pietrzak jest stanowczo jednym z najbardziej utalentowanych ludzi w Warszawie. W ciasnym sklepiku przy ulicy Wspólnej, który sobie jakimś swoistym systemem kotarowym podzielił, niczem Reinhardt, na sklep, kuchnię, bawialnię, sypialnię i pracownię krawiecką, roi się wiecznie od osób płci rozmaitej: żona, czworo dzieci, czeladnik, kilku szykownych panów, wyciętych z żurnalu „Latest Fashion 1912”.

Ale właściwie ani jedna z tych różnorakich twarzy nie posiada tego wyrazu twórczej inteligencji, ani jedna tego błysku w oczach, który miewa sam pan Pietrzak, kiedy ogląda, brew zmarszczywszy, spodnie do cna pocięte przez mole, albo marynarkę, zupełnie wytartą na łokciach.

Muszę to raz wreszcie wyznać publicznie: tylko geniusz tego człowieka uchronił mnie dotąd od zdziwienia, i jedynie jego pomysłowość, tudzież inwencja twórcza sprawiły, żem za twardych lat wojny i okupacji nie stoczył się na dno, żem wytrwał przy jakim-takim „standard of life”, nie spadł pomiędzy bosiaków gorkijowskich, nie przystał do sekty adamitów.

To Pietrzak, mówiąc krótko, nicował mój żakiet na trzecią stronę. To Pietrzak przerobił mi kloszowy smoking na marynarkę dwurzędową, aby ją następnie—kiedy konieczności dziejowe zmusiły mnie do pewnego wystąpienia bardziej oficjalnego—przerobić znów na smoking kloszowy.

I to Pietrzak również w pamiętnym roku 1917—kiedym, jako asystent politechniki i urzędnik państwowy, (pensja miesięczna 166 marek, 66 i dwie trzecie feniga), otrzymał nareszcie długo oczekiwana „kartę odzieżową”, a na zasadzie tej karty trzy metry kleistego, włochatego, grubego, rudego wołoku czy rogoży—stworzył z tej bawełny strzelniczej pamiętny w dziejach naszego *high-lifu* angielski garnitur marynarkowy, który też obnosiłem z dumą po wszystkich premierach i rautach (Création Pietrzak, 1918).

Polubiliśmy się z panem Pietrzakiem w okresie fatalnego głodu i wojny, krzepiliśmy się nieraz na duchu wzajemnie. Zanosilem mu co miesiąc owe sześćdziesiąt sześć i dwie trzecie feniga, on zaś, gryzł gliniasty chleb kartoflany, łykał tak zwany pęczak, szył, cerował, nicował, latał i wytrwałą pracą nadawał mojej postaci pewne minimum dystynkcji i wygląd człowieka solidnego, niezbędny w moich czynnościach zawodowych. Pracował przy świeczce, kiedy nie było elektryczności i usiłował wyżywić siebie, żonę, czeladnika, czworo dzieci z tych łatań, z tych dziur, które na szczęście powstają w całym.

— Musimy wytrwać, panie Pietrzak, — mówiłem

do niego przy każdej okazji. — Kitchener, lord angielski, tak twierdzi, ale i Foch mówi to samo i nawet Hindenburg. Wszyscy, mówią to samo. Odmieni się, będzie dobrze. Trzymajmy się, panie Pietrzak, nie dajmy się.

Pod koniec roku 18-go (grzmiały już armaty pod Chateau-Thierry i brzask nowych dni, jak to powiadają, jaśniał już na niebie) pan Pietrzak ni stąd ni zowąd chwiać mi się począł — nie trzymał się dość mocno i dał się... Wyprawił poprostu którejs niedzieli całą rodzinę za miasto, przymknął szczelnie drzwi i okna, siadł, jak zwykle, na zydelku krawieckim, odkręcił kurek gazowy i czekał.

Przypadek zrządził, że z mego okna dojrzałem jeden z pierwszych, iż coś się tam niedobrego święci na vis-à-vis, u sąsiada na przeciwległym trotuarze. Pomińmy szczegóły...

Zdążyliśmy na czas, dobrzy ludzie sprowadzili Pogotowie, ocucili go, wyleczyli.

W tydzień potem mówiłem już do niego patetycznie:

— Jakto, panie Pietrzak? Teraz pan takie rzeczy robi? Kiedy właśnie rydwan historii na nowe wjeżdża tory? Kiedy świt nowej epoki, że tak powiem, kiedy przełom, że się tak wyrażę, i kiedy bujne życie — co tu gadać — tryska ze stwardniałej skorupy naszego globu? Kiedy niebo zorzą płonie i ptaszkowie śpiewają hosanna?...

Onegdaj spotkałem pana Pietrzaka na schodach jedenastego komisariatu. Rejestrowaliśmy się obaj, zgodnie z reskryptem z dnia 30.XII. i stosownie do

rozporządzenia Nr. 2340/22... Przed nami szereg obdartych obywateli, poręcz lepi się od brudu, z czarnych ścian tynk opada, ogon potępieńców wije się przez dwa piętra i kawał podwórza, ziąb dokuczliwy po kościele łądzi, zęby szczękają, jak harfa eolska, za każdym podmuchem wiatru. Na tych samych smutnych schodach, w taki sam dzień ponury, w tym samym cyrkule, ci sami ludzie wystawiali już nieraz godzinami i nieraz już dzwonili zębami — dawniej, ongi, w czasach dalekich, przed-historycznych.

— Jakże tam teraz, panie Pietrzak? Poprawiło się? — pytam sąsiada z ogonka. Los nas bowiem rozłączył i nie widziałem go ze dwa lata.

I pan Pietrzak rozpoczyna długą, długą opowieść. Nie śpieszy się, bo wie, że mamy czas. Będziemy tu stali — wedle obliczeń przybliżonych — od dziesiątej do drugiej, w zaduchu i ścisku. Mówi tedy szeroko o kaszy, o pęczaku, o drożyznie, o chlebie, o czworgu dzieciach, o gazie...

— Trudno wyżyć z tej łataniny. I materiały drogie, i roboty niema, i w mieszkaniu ciasno, i żona czegoś słaba, i z synem...

Jednem słowem źle i nawet — zdaje mi się — ten pocziwina ma jakiś żal do nas, żeśmy go wtedy odratowali.

W jego życiu — dziwnym trafem — ani bitwa nad Marną, ani Lloyd George z Kłajpedą, ani Poincaré z Ruhrą, ani Witos, ani Wersal, ani Spa, ani Waszyngton, ani Liga, ani Curzon, ani Paderewski, ani Askenazy, ani Dawes — nic, literalnie, dosłow-

nie n i c zmienić nie zdołali. Ten sam ma sklepik na Wspólnej, tę samą nędzę w sklepiku i ten sam wycinek na ścianie „Latest Fashion 1912”.

I rzecz dziwna! Kiedy tak wzrokiem zwolna przebiegam po znękanych twarzach moich kolegów z ogonka cyrkulowego — widzę raptem jasno, że nas tu jest więcej takich Pietrzaków! Literat zbija — jak dawniej — te same bruki, wysiadując po tych samych kawiarniach te same stołki. I malarz marznie w tej samej pracowni, i aktor pije z rozpaczny tę samą siwuchę. I pan Kleinsinger ze Świętokrzyskiej sprzedaje, jak za moich lat szkolnych, te same cuchnące klejem książczyny a podręczniki małym uczniakom... Jest nas dużo, panie Pietrzak, bardzo dużo...

Mężowie stanu siedzą tam sobie na konferencji przy zielonym stole, paćkają Bazewiczowi mapę atramentem bajecznie kolorowo i myślą, że dokonali rzeczy wielkich. Nasza kucharka, Michcia, rozumuje zupełnie w ten sam sposób i kiedy przeleje razem z wodą ryby, przeznaczone na obiad postny, z balji do wanny, wpada w zachwyt nad własną genialnością.

Ale mały karasek, któremu przy tej okazji ogon nadłamano i łuskę zdarto, pływa w wannie jeszcze bardziej zafrasowany, niż w balji, i nic nikomu nie mówiąc — pocichutku zdycha.

I właśnie coś podobnego dzieje się teraz w Europie. Przelewają nas z pustego w próżne, a miasta giną, marnieją. W Warszawie domy się wałą, odrapane mury o pomstę do nieba wołają —

w Moskwie, Berlinie, Wiedniu życie zamiera, ludność miejska stała się jakimś zbytecznym, zwiędłym kwiatkiem przy kożuchu. Za lat pięćset albo tysiąc przyjedzie do Europy, jak dawniej do Asyrii, Egiptu, Babilonu, ekspedycja archeologów amerykańskich, pan Smith (Baltimore) wygrzebie z piasku ulicę Wspólną, Szpitalną i Koszykową, znajdzie skamieniały smołing — twoje arcydzieło, panie Pietrzak — znajdzie spleśniałą matrycę tego feljetonu, pokiwa głową, powie: nawet mieli pewien spryt — a jednak zginęli tak marnie!...

Tem się pocieszajmy, panie Pietrzak.

WARSZAWA W NOCY

Noc, ziąb, księżyc. Na cokółce z napisem: „Mikołayowi Kopernikowi rodacy” siedzi, wysunawszy nieco prawą nogę, astronom toruński i piastuje swoją kulę i cyrkiel.

Scena I.

Ciż (jak mówią w komedjach) — Szspszpkowski. Nie wiem, jak mu na imię, on sam też nie wie, jak mu na imię, jest bowiem chwilowo „w odmiennym stanie” świadomości.

Szspszpkowski. O! — Nareszcie ktoś jest. Przepraszam najmocniej. Przepraszam. Czy tu jest ulica *Szгла? Szczyгла?* Szspszpkowski jestem — bardzo mi przyjemnie. Daruje pan, że go niepokoję, ale, jako urodzony, rodowity warszawiak, zupełnie się teraz w tem mieście nie orientuję. Czy—szanowny pan—jako nietutejszy—nie wie, gdzie jest ulica *Sszzglа?*

Milczy, czy ma chrypkę? Paniel Odezwij-że się pan! Masz ci biedę, ktoś się zaziębił, umarł i zesztyniał. Paniel kto pan jesteś?

Kopernik. Kopernik.

Szspszpkowski. Mówi. Bogu dzięki — mówił Szspszpkowski. Pozwoli pan, że się przysiądę. Ogromnie

się cieszę, że pan przemówił... Już myślałem—jakie nieszczęście albo co. Bo tego lata to nawet na słońcu jest ośm stopni w cieniu — a cóż dopiero o tej porze! Co pan właściwie tu robi o tej porze na słupie?

Kopernik. Siedzę.

Szszpkowski. Aa! A kto pana tu posadził, panie Kop-Kopelman?

Kopernik. Nie czytał pan? Napisane jest przecież — wdzięczni rodacy.

Szszpkowski. Ha! Impertynencja, słowo honoru. Żeby człowiekowi z delikatnem zdrowiem taką posadę dawać. Czy to dla pana zajęcie? To dla nocnego stróża. A co pan w rękę trzyma, panie Kop-Kulebiak?

Kopernik. Planetarjum.

Szszpkowski. Aha. Aha. Rozumiem. Co takiego?

Kopernik. Wszechświat.

Szszpkowski. Aha! Wszechświat. Naturalnie. Myślałem, że bomba pilznera, ale bomba toby miała uszko. Ponieważ zaś nie ma ucha, to musi być oczywiście wszechświat. I tak dzień i noc pan tu siedzi?

Kopernik. Dzień i noc.

Szszpkowski. Skandal, słowo daję. I oddawna, panie?

Kopernik. Od kilkudziesięciu lat... z górą.

Szszpkowski. Okropność, jak u nas ludzi traktują. Kilkadziesiąt lat na tem samem miejscu siedzi i nie awansuje! Gdzieindziej toby pan już dawno się

emerytury dosłużył. Pewnie pan nie ma protekcji, co? Jak to się pan nazywa, przepraszam?

Kopernik. Kopernik.

Szszpkowski. No tak. Nazwisko nie jest pierwszorzędne. Kopernik?... Powinien się pan jakoś przezwąć Koperski, Kopernicki — teraz już można. Uda pan, że panu papiery w Rosji zginęły i zmieni pan nazwisko. Ja się panem zajmę. Stosunki człowiek, chwalić Boga, ma. Wróblewskiego znam, Przepiórkowskiego znam, z Kanarkowskim jestem na ty — gorszych idiotów od pana na zaszczytne stanowiska wypchnąłem. Siedzą sobie teraz jeden z drugim w fotelach i bębnią palcami po stole — pensję mają, dodatki drożyniane...

Czytać i pisać pan umie?

Kopernik. Całe-m dzieło napisał: *De revolutionibus*...

Szszpkowski. Pst! Niech się pan tem nie chwali. *De revolutionibus* — broszura agitacyjna. Prasa się na pana rzuci. A ten, a jakie pan ma wykształcenie?

Kopernik. Uniwersytet w Italji i w Krakowie skończyłem.

Szszpkowski. Uniwersytet? To za dużo. Będą nosami kręcili. Wolałbym, żeby sześć klas albo żeby pana z siódmej z odznaczeniem wyrzucono. A jaką pan ma specjalność? Adwokat?

Kopernik. Astronom.

Szszpkowski. Gastronom — to ja też — każdy jest gastronom. Ja się pytam o zawód? Iach?

Kopernik. Astro-nom.

Szszpkowski. Astro-nom?! No, wiecie państwo!

Coś podobnego, to mi się pierwszy raz w życiu zdarza. Literatów umieszczałem na poczcie, poetów w policji, malarzy w macie amerykańskiej — ale na astronoma jeszcze nie natrafiłem! Mój panie Kop-Kobryner, skąd się to panu wzięło, u diabła? Co za idea? Astronom? U nas? Z czego pan będzie żył? Chyba się pan chce bogato ożenić?

Kopernik. Nie.

Szszpkowski. No to pan z głodu umrze, zapewniam pana.

Kopernik. Ja już umarłem—380 lat temu.

Szszpkowski. To i tak nadspodziewanie długo się pan trzymał! Co za głupstwa po ludziach chodzą! Chłopak młody, zdrowy, przystojny, zamiast się do handlu wziąć, albo na walucie spekulować, albo na posadę wstąpić — na astronomję się rzuca. To tylko w takim Zgierzu, jak Warszawa, jest możliwe. Astronom!

Teraz rozumiem, dlaczego pana posadzili na świeżem powietrzu. Bo i co z takim robić, rzeczywiście? Na co się pan komu może przydać? Darmozjad pan jest, próżniak, z grosza publicznego pan żyje, pracować się panu nie chce! Ot co jest!

CIŻ I POSTERUNKOWY.

Posterunkowy. Hej tam! Panie! Gdzieś pan wlaźł? Na pomnik? Legitymację pan ma?

Szszpkowski. Niby ja? A jakże. Mam — urzędową. Urzędnik ZUPAPU! Referent. Ale ten z kuflem, w szlafroku, nie ma dokumentu! I żądam, żeby go wsadzono do kryminału. On tu całą ludność

demoralizuje! Astronom! U nas? W samym środku miasta?! Przecież tędy dzieci do szkół chodzą? To przykład jest? Zachęta do pracy? Dowie się jeden z drugim pędrak, że można, nic nie robiąc, całe życie na słupie siedzieć i zgorszenie gotowe! Namnoży ich się tu tysiące. Za kilka lat na każdym rogu ulicy ktoś na piedestale przykucnie, wszechświat w łapę chwyci i będzie czekał, aż go państwo wyżywi. Czy to nas stać na to? Nie pójdę! Z miejsca się nie ruszam, dopoki tego pana stąd nie usuną! Szszpkowski jestem, Szszgła. Ja żądam, żeby on zginął w kryminale...

Z A S Ł O N A.

B A C Z N O Ś Ć!
SPRAWA NAJWYŻSZEJ WAGI!

RECEIVED
JAN 10 1892

DOKUMENT TAJNY

Późna noc. Pokój w jakimś dostojnem MSY. Jest to — krótko mówiąc — co najmniej „Wydział kurjerów.” A może coś więcej. Barjerka, jak w dawnych cyrkulach. Dziwnym trafem MSY przypomina wogóle dawny cyrkuł. Umywalnia. Telefon (wewnętrzny i zewnętrzny). Nieduża szafka (zamknięta, jak biuro amerykańskie, zapomocą drewnianej stopy, która się z łoskotem i grzechotaniem podnosi i opuszcza). W tej szafce — wewnątrz, na półeczkach ślicznie ponumerowanych — złożone są listy — poczta dyplomatyczna! Dyżuruje o tej późnej porze panna Halszka Dyda-siówna, kancelistka (VII kategorja).*

Halszka (palcuje na Remingtonie i nuci — głosem półurzędowym):

„Rozstać z tobą, ach, dzisiaj się muszę,

„Bo się kończy wszy-ystko wszak...

„Czar twój spalił mi serce i duszę

„Więc cichutko odejdę, jak ptak...

(Dzwoni telefon wewnętrzny).

Halszka (do telefonu) Wydział kurjerów. — Co? Kto? Niema.

(Odkłada słuchawkę).

„Czar twój spalił mi serce i duszę

„Więc cichutko chcę odejść, jak ptak...

(Dzwonek).

Proszę mi ustawicznie w pracy nie przeszkadzać: Kto tam?

Co? Prezydum? Mówię przecie: pana Kierdziela niemal z Paryża wrócił, ale na dyżur nie przyszedł. (Energicznie) Powinien być, ale go niema. Żeby każdy robił, co powinien, toby życie było romansem. Sam pan jest arogant! Kto mówi? — Dyda-siówna — Dyda-siówna... Dydaś — rozumie pan! (Odkłada słuchawkę)

(i znów kilka akordów na Remingtonie).

„Nie dziw się, że bez słowa odchodzę,

„Ale temu jam winien jest czyż?

„Gdyś stanęła we śnie na mej drodze...

(kiks. Jednocześnie — telefon)

Co u diabła! — kto się pyta? Pan szef sekcji? Niech się pytał! Ja pana Kierdziela nie stworzę — za te głupie dwieście piędziesiąt złotych na miesiąc! Mam i tak dość roboty!

„Gdyś stanęła we śnie na mej dro-odze...

(kiks. — Drzwi się uchylają — *Interesant*).

Interesant. Ja — przepraszam — ja bardzo żałuję, że o tej porze, ale ja — o ulgowy paszport zagraniczny... Bo mnie powiedzieli, że mój wyjazd jest dla państwa konieczny. Ja mam kamienie żółciowe.

Halszka. W nocy? Pan oszalał?

Interesant. Mnie obiecano — ja wyjeżdżam — powiedzieli, że pan minister uwzględni...

Halszka. W nocy? Pan tu sobie przychodzi w nocy? Co to jest — ministerjum, czy łaźnia Fajansa?! Proszę wyjść!

Interesant (otwiera usta). I jeszcze coś chciałem powiedzieć. Ja tu mam taki papier... Sam nie wiem, co to za papier... Leżał na ulicy.

Halszka. Dosyć! W lewo zwrot! Rysią marsz!
(Interesant wychodzi).

„Gdyś stanęła we śnie na mej drodze—
(kiks. — We drzwiach pan Szef Sekcji osobiście)

Halszka (zrywa się—prawem inercji—śpiewa drżącym głosem):

„Czułam, że się unoszę wzwyż!

— Pan szef osobiście? — własnoręcznie? — samorzutnie? — istotnie? — zobopólnie...?

Szef (patrzy na nią bystro, okiem Napoleona pod Waterloo) — ? ! ? ! ? !

Halszka (dyga, jąka się, rumieni się). Właśnie... rzeczywiście... tymczasowo... niekorzystnie... okazjnie... samodzielnie...

Szef (krótko, zwięzle). Tak. Rozumiem. Kto pani jest?

Halszka. Właściwie... zastępczo...

Szef. Jak się pani nazywa?

Halszka. *(Nic).* — — — „„„

Szef. U pioruna! Jak się pani nazywa?

Halszka. Nie wiem, czy panu radcy... wiadomo, że ewentualnie...

Szef. Żeby mi było wiadomo, tobym się nie pytał! Więc? No? Prędzej!

Halszka. Dy... dy... dy...

Szef. Pani się jąka?

Halszka (szybko): dasiówna... dasiówna... Kancelistka... na Remingtonie. Stosownie do okólnika...

nocny dyżur. Dyżur nocny. Przez tydzień codzień nocny dyżur.

Szef. Dasiówna?

Halszka. Dy! dy! dy!

Szef. Co za dy? Tylko dy?

Halszka. Dy-daś. Dy-daś, daś również proszę pana radcy ministerjalnego. Daś także.

Szef. A! Dydaś! Pani jest sama na dyżurze?

Halszka. Właściwie... istotnie... bezowocnie... niepodzielnie...

Szef. Pani tu jakieś nuty przepisuje? „Nie dziw się, że bez skargi odchodzę?”

Halszka. Uczę się, albowiem chwilowo — istotnie... Pan Kierdział, jako taki... w godzinach nadetatowych... ustawia mi głos. Pan Kierdział, jako taki, jest bardzo muzykalny.

Szef. Aha! Doskonale! Właśnie o tem chciałem mówić! Tego pana niema jeszcze?

Halszka. Niema! Stanowczo niema! — Jakiego... pana, proszę pana radcy? Bo nie wiem, o jakiego pana właściwie...

Szef. No... Kierdla?

Halszka. Pana Kierdziela?

Szef. Kierdziela! Kierdziela!

Halszka. Pana Kierdziela istotnie jeszcze niema. Miał być, ale go niema. Miał dyżur objąć, ale nie objął. Jak to w życiu...

Szef. Ale z objazdu wrócił?

Halszka. Z obiadu wrócił — prawdopodobnie... jeżeli istotnie na obiedzie był.

Szef. Pytam: z objazdu! Z objazdu! Z Paryża, dokąd woził pocztę?

Halszka. Dokąd woził pocztę? — wrócił. Był wczoraj — wpadł, jak po ogień — napisał raport — i dziś miał objąć, ale nie objął... Na dyżur nie zjawił się... Miał się stawić, ale się nie stawił. Jak to w życiu...

Szef. Hm. Czy pani jest zaprzysiężona?

Halszka. Nie, proszę pana radcy ministerjalnego. Panna. Dydasiówna.

Szef. Pytam się, czy pani składała przysięgę? Czy pani wie, jaka pani grozi odpowiedzialność za ujawnienie tajemnicy państwowej?

Halszka (głosem drżącym). Wiem.

Szef. Dobrze. Czy pani zna bliżej pana Kierdla?

Halszka. Kierdziela?

Szef. Kierdziela.

Halszka. Znam bliżej...

Szef. Wiedziałem o tem. Macie się ku sobie. (Krzyczy). W nocy z dnia 21 na 22 zeszłego miesiąca oświadczył się o pani rekę i został przyjęty. Co pani na to?

Halszka. Przyznaję się — został przyjęty... Nie wiedziałam, że to wykroczenie służbowe... Małżeństwo, jako takie, aczkolwiek pracujemy w tem samem ministerjum, nie jest kazirodztwem?

Szef. Nie. Chciałem dać pani dowód, że ministerjum wie wszystko. Nic się ukryć nie może, jesteśmy dokładnie poinformowani. A teraz do rzeczy. Niech pani odpowiadał krótko, bez wykrętów: Czy ten człowiek jest jeszcze w mieście, czy uciekł?

Halszka. Pan Kierdziel? Uciekł? Skądby? Dlaczego? Ja nic nie wiem.

Szef. Al pani twierdzi, że pani nic o nim nie wie? Gdzie się ukrywa — tego nie mówił pani?

Dobrze — zatem to ustali policja. Dalej... Gdzie składacie listy? — Gdzie przechowujecie, pytam, sekretną pocztę dyplomatyczną?

Halszka (*gest w stronę szafki*). W naktkastliku...

Szef. Gdzie?

Halszka. W szafeczce. Tam.

Szef. Klucz? — (*Pauza*). Pytam się, kto ma klucz od tego sefsu? Kierdziel?

Halszka. Kierdz...

Szef. Dobrze. „Safe” trzeba będzie otworzyć jutro z samego rana wytrychem. Zawiadomi pani naszego ślusarza.

Halszka. Kiedy, proszę pana radcy — ten naktkastlik otwiera się właściwie szpilką (*wyjmuje szpilkę z włosów*). Istotnie... samorzutnie... podwójną szpilką.

Szef. A? Szpilką? Proszę! Czekał!

Halszka (*drżącą ręką otwiera „safe”*). Już!

Szef. (*przerzuca papiery: koperty, listy. Czyta adresy, bada pieczęcie. Wyciąga arkusz papieru z bocznej kieszeni, porównywa i sprawdza podług indeksu zawartość „tajnej skrzyni”*).

PK I — ambasada w Londynie — jest. KT 8 — Republika SHS — jest. PD — konsulat w Tyflisie — jest. Kordoba — jest, Peruwiana — jest. Argentyna — jest. Paso Doble — jest! Dziwnie! Nic nie rozumiem. (*Wyjmuje lupę z kieszeni, ogląda koperty*). Pieczęcie są. Całe. Nieuszkodzone. Hm. Kierdziel nie zdążył jeszcze otworzyć tych kopert, he? Nie

zdażył skopjować tych papierów, co? Jak pani sądzi?

Halszka. Ja... ja... wstrzymuję się od głosowania... ja aproksymatywnie — w zależności... w posiadaniu pisma szanownych panów... absolutnie, niepodzielnie nic rzeczywiście nie rozumiem.

Szef. No, mówię chyba dość jasno? Narzeczonny pani, panno Dydaś, nie zdażył jeszcze wydać tych dokumentów mocarstwu Ościennemu?

Halszka. Wydać?! Wydać?! Ościennemu?

Szef. Wydać, wydać! panno Dydaś! Niech pani oczu nie wytrzeszcza, niech się pani nie zgrywa. Pani dobrze wie, o co chodził

Halszka. Ja? Panie ministrze... Życie moje dotychczasowe upływało, jak na dłoni...

Szef. Dosyć! Ani mru-mru! Człowieka, który pani głos ustawia, obserwujemy oddawna. Policja ma go na oku. Wiemy o nim wszystko. Człowiek, który pani głos ustawia, wyjeżdża co rano do Wilanowa, do Piaseczna, do Młocin — codzień w innym kierunku i codzień z inną walizeczką ręczną. Dalej! Człowiek, który z panią śpiewa duety, zamawia sobie u fryzjerów teatralnych peruki — jasnowłose, ciemnowłose, łyse — i przymierza je w domu przed lustrem. Co pani na to?

Halszka. Ja — nic... Ja... jestem oczywiście, absolutnie... niezwłocznie... zdumiona... Peruki? Może mu to jest potrzebne w zawodzie...

Szef. W zawodzie? Nie wiem, pocoby urzędnik etatowy w ministerstwie Em-Es-Igrek miał przymierzać peruki? Urzędnik może zmieniać poglądy,

ale nie owłosienie! Wiemy zresztą z najlepszego źródła, że człowiek ten żyje nad stan! Wczoraj wieczorem, o godzinie 23 minut 45, zamówił w Astorji dwa razy—„Melbę”!!

Halszka. Me—me—mel—?

Szef. Tak! Melbę! Pani znów jest zdumiona! co? Chociaż osobą, która z nim ową melbę z truskawkami jadła, była p a n i i nie kto inny?!

Halszka. Panie ministrze! Są tajniki życia prywatnego, w które ręka obca wkraczać — ani tem bardziej wglądać! nie powinna absolutnie, kategorycznie i ewentualnie! Są tajniki i są chwile w życiu człowieka... choćby to była nawet kobieta...

Szef. Zaraz! Nie skończyłem! Pytam się, czy urzędnik 7-ej kategorii w ministerjum może w drodze legalnej zdobyć dwa razy melbę? Jednego wieczoru??! A jeżeli nie może, to skąd czerpie środki na te ekscesy? I jaką mianowicie drogą doszedł do lodów z truskawkami??!

Oto jest kopja rachunku, dostarczona nam przez Wydział drugi (D₂). (*Czyta, patrzy na nią groźnie*). Jarzębiak—dwa razy rydzyki z rusztu, dwa razy sandacz z jajami — jarzębiak... — ten człowiek ma trzysta złotych pensji miesięcznej!!!

Halszka. Oczywiście... istotnie... Co do mnie... uczciwie i nieskazitelnie... mozolnie... własnoręcznie... pracowicie...

Szef. Wiem. A raczej tak przypuszczałem. Dla tego też chciałem panią ostrzec...

Halszka. Serdecznie... prawdziwie... stokrotnie...

Szef. Sprawa Kierdziela, panno Dydaś, jest już

w rękach Wydziału śledczego. Jutro będą pierwsze wzmianki w gazetach. Pojutrze będzie o nas mówiło całe miasto. Będziemy sławni: ja, pani, panno Dydaś. Dlatego wołałbym, żeby się pani nazywała inaczej.

Halszka. Boże... Boże... Boże...

Szef. Tak jest. Człowiek, któremu pani sprzyja, nadużył zaufania. Ponieważ pani jest zaprzysiężona — mogę to pani powiedzieć: (*wolno i dobitnie*) Ambasada w Paryżu donosi telegraficznie, że nie otrzymała koperty P P W N I, zawierającej tajny traktat handlowy z republiką Betunją i z świeżo powstałym na Bałkanach, królestwem Salwersynją.

Halszka. Jezus! Marja!

Szef. Istnieją obawy, że traktat—dwieście dwadzieścia paragrafów!—wydano w obce ręce! Razem z dopiskiem!

Halszka. Chryste Panie!

Szef. Ponieważ rozrzutność Kierdla i jego tryb życia zwróciły oddawna uwagę Wydziału drugiego, nie ulega żadnej wątpliwości, iż osobnik ten—tentego!

Halszka. Strasznie!... literalnie!... zawrotnie!... Żeby Duś coś podobnego!... niesamowicie!... astralnie... psychoanalitycznie...

Szef. Właśnie! Te papiery zabieram! Gdyby się tu zjawił—rozumie pani? — on!—gdyby się zjawił, w co zresztą nie wierzę,—nic! Ani słowa. Zawia-
domi mnie pani natychmiast...

Halszka. Niezwłocznie... naturalnie...

Szef. Jemu ani pary z ust... (*Sprawdzając papier*

ry, trafia na „romans“). „Nie dziw się, że bez słowa odchodzę“... Aha, to nie to!

Interesant. Przepraszam, że się ośmielałam...

Szef. Co?

Interesant. Paszport zagraniczny... Ze względu na długotrwałe kamienie żółciowe...

Szef. Nie tu!... Wydział paszportowy! Komisarjat Rządu! Nie o tej porze!

Interesant. Kiedy tam powiedzieli!... Wydział skarbowy... Zażądali zaświadczenia... Panie naczelniku. Ze względu na kamienie żółciowe, wyjazd mój jest dla państwa konieczny...

Szef. Dosyć.

Interesant. I prócz tego ja tu mam taki papier...

Szef. Dosyć.

(Interesant wychodzi).

Szef. Ma pani tu kwit, panno Dydaś. *(Mruczy raz jeszcze „PKI, KT8, SHS, PD“. Wychodzi).*

Halszka. Wydał w obce ręce?... Boże! Dwieście dwadzieścia paragrafów! Po stokroć lepiej umrzeć, niżli żyć w sromocie...

„Rozstać z tobą, ach, dzisiaj się muszę...”

Przy drzwiach lekki harmider. Podwoje się otwierają i staje w nich Kierdział. Ma na sobie palto gumowe. Poza tem jest — powiedzmy to odrazu — w kostjumie diabła Kuternogi z „Pana Twardowskiego“. Obcisły kostjum trykotowy; na lędźwiach jakieś włochate futerko. Całokształt nakryty paltem. Czarna peruka.

Czapeczka podróżna. Walizka.

Kierdział. Halszko moja. To ja!

Halszka. Co? Kto?—Co to?

Kierdziel. Nie poznajesz? *Kierdziel.* Duś. Twój Duś!

Halszka. Nieszczęsny! Coś ty uczynił!

Kierdziel. No? Bo co? (*Próbuje się wyplątać z jakiegoś szalika*).

Halszka. Nieszczęśliwcze!

Kierdziel. Co?

Halszka. Co znaczy, żeś czarnym opasał się szalem? I ta peruka? I ta walizka!! I ten kostjum! I życie nad stan! Ha! prawdę mówił radca stary. Tyś zdradził kraj! jak w „Aidzie”!

Kierdziel. Owszem—ale w innym filmie! W tym jestem Kuternogą z „Pana Twardowskiego”. Ja ci szczegółowo wytłumaczę. Chwileczka. (*Zmierza ku umywalni. Zrzuca palto. Kuternoga!*)

Halszka. Wielkie nieba!!

Kierdziel. Pst! Nie krzycz! Przedewszystkiem nie krzycz! Cała rzecz się natychmiast wyjaśni. Chwileczka! (*Zanurza głowę w miednicy parska wodą i mydlinami*). Brrkreffthje...

Halszka. Nic mi nie mów! Wiem, niestety, aż nadto dobrze, jak nisko się stoczyłeś!!

Kierdziel. Staczam się w przyszłym obrazie. Rzecz, którą teraz właśnie montujemy.

Halszka. Nie mów! Nie słucham! Nie mam prawa! Nie chcę być współniczką twych zbrodni... Dwieście paragrafów oddałeś... Ościennemu!

Kierdziel. He?

Halszka. Ale wiedz, nieszczęsny, że się wszystko wydało! Pan Szef Sekcji tu był i zabrał pocztę! Śledzono cię, tropiono cię... Teraz wszystko wyszło najaw! Jutro będą wzmianki w gazetach. Pojutrze będziemy zgorszeniem publicznem!

Kiedziel. Hm. Trudno... Bomba pękła. Cóż... Głowy mi nie utną.

Halszka. Głowy cię nie utną, ale cię pod sąd doraźny oddadzą.

Kierdziel. Za co?

Halszka. Jakto? Ty—urzędnik na takim stanowiskul... 7-a klasa! i dopuszczasz się czegoś podobnego?

Kierdziel. O wał Stanowisko! MSY! Dzierżawiąc szałet miejski więcejbym zarobił...

Halszka. On szydzi. Śmieje się śmiechem serdecznym... Człowieku, czy ty nie wiesz, że ci grozi proces o zdradę stanu?!...

Kierdziel. Stanu? Jakiego stanu? Kawalerskiego?

Halszka. Duś. Nie żartuj! Tu chodzi o życie. Powiedz, kto cię do tego namówił? kto cię na tę drogę pchnął?

Kierdziel. Kto? Siuś Pobrykalski. Powiada, że ja jestem fotogeniczny.

Halszka. Siuś? Pobrykalski? Ten aktor?

Kierdziel. Ten aktor.

Halszka. A więc i on ten proceder uprawia?

Kierdziel. I od ilu lat! W Berlinie się tego uczył. On też jest fotogeniczny. Szkołę skończył.

Halszka. To nawet szkoły takie są?! Boże, Boże!

Kierdziel. Naturalnie, że są. Kurs trzyletni—dają dyplomy, starają się o engagement. Ale mnie to było niepotrzebne, bo ja mam talent. Siuś powiada, że ja mam wrodzony talent. Teraz robimy z Siusiem na obstalunek—dużą rzecz: „Mord w ambasadzie”. Powiadam ci, jak to się uda — do Berlina kupią, na Amerykę kupią! Zaliczkę już dali.

Halszka. Wzięłeś—zaliczkę — na morderstwo—
w ambasadzie?!

Kierdział. Wzięłem. I nawet przepiłem.

Halszka. Rozumiem! Rozumiem teraz, skąd te
lody, truskawki, liny „w majonezie... Oczy mi się
otworzyły—za późno.

Kierdział. Lody były za co innego. Lody były,
uważasz, za insygnja królewskie! Poszły do Bra-
zylji.

Halszka. Zbrodniarzu! Życie nasze mogło się
toczyć po różach—ale cóż—robak się lęgnie i w buj-
nym kwiecie! Nigdy za ciebie nie wyjdę, rozu-
miesz? Nigdy zhańbionego nazwiska twego nosić
nie będę!

Kierdział. Nazwiska? Zhańbionego? Kiedy ja wy-
stępuję pod pseudonimem. Kierdział jest za trudny
do wymówienia dla cudzoziemców! Nazywam się
Coeur d'Ello.

Zobaczysz, jaki będę głośny w Europie!

(Interesant).

Interesant. Przepraszam bardzo... ja pewnie prze-
szkadam... ale mnie powiedzieli... I ja tu mam je-
den papier... Może mnie pan od niego uwolni...
Będę pana całe życie błogosławił.

*Kierdział (staje przed nim — w kostjumie diabła
— groźny, wyniosły.)* Co u diabła. Chwili wytchnie-
nia człowiek nie ma. Po nocy pan tu nas będzie
nachodził? Co to — niema godzin biurowych? Od
dwunastej do drugiej i od szesnastej do osiemnastej.
Nie umie pan czytać?

Interesant. Kiedy to jest pilny interes — i nie

mój interes. To jest ministerjalny interes. Niech pan ode mnie to weźmie! Zrób pan to dla mnie! Co to panu szkodzi.

Kierdziel. Niech pan idzie na Wierzbową!

Interesant. Byłem. Oni powiedzieli...

Kierdziel. Niech pan idzie do Prezydium na Krakowskie...

Interesant. Byłem. Oni kazali...

Kierdziel. To niech pan idzie na plac Krasińskich!

Interesant. Stamtąd wracam. Oni mnie właśnie przysłali...

Kierdziel. Jednem słowem — niech pan idzie do stu diabłów!

Interesant. Właśnie myślałem, że to tu...

Kierdziel. Obróć! Marsz! (wypycha go).

Halszka (bierze słuchawkę telefonu wewnętrznego). Muszę zawiadomić radcę, że jesteś...

Kierdziel. Czeka!

Halszka. Nie mam prawa! To okropne! „Ja miałam szczęście tve za obowiązek święty — a dzisiaj — ja — prowadzę cię na stos!” (Dzwoni). Jest! Tak! Dobrze! (Odkłada słuchawkę. Wyciera oczy chusteczką). Za chwilę przyjdą cię okuć w kajdany.

Kierdziel. Mnie?

Halszka.

„Żegnaj! — Jak smutne to rozstania słów!

Żegnaj — ja ciebie już nie ujrzę więcej...

Łzy me padają na twą główkę płową...”

Kierdziel. Co ty gadasz, kobieto?

Halszka. „Łzy me padają na twą główkę płową...”

Gdzieś podział P P W N I??

Kierdział (zdumiony) Jak powiadasz?

(Pan Szeł Sekcji wpada klusem).

Szeł. Coś uczynił, nieszczęsny, z P P W N I?

Kierdział. P P W N I? Pan powiedział wyraźnie P P W N I!

Halszka. P P W N I!

Szeł. P P W N I! Jutro o tem będą artykuły na pierwszej kolumnie! P P W N I!

Kierdział. To jest stronnictwo w sejmie?

Szeł. Nie!

Kierdział. Spółka akcyjna z ograniczoną odpowiedzialnością? Rozkład jazdy? Urząd państwowy? Nowy teatr? — Republika na Bałkanach?!

Szeł (kiwa głową). Tak. Na Bałkanach! Komuś odprzedał, nieszczęsny, nasz traktat z Salwersynją?

Kierdział (osłupiał). Z Salwa...?

„Nie dziw się, że bez słowa odchodzę,

Ale cóż ci powiedzieć mam wszak?”

Szeł. Gdzie jest papier P P W N I? W czyich rękach?

(Interesant wchodzi. Wyjmuje z kieszeni kopertę opieczętowaną).

Interesant. On jest w moich rękach, proszę pana ministra. Ten papier to ja znalazłem — 3 tygodnie temu — na ulicy Miodowej. Ja idę. Papier leży. Ja go, na moje nieszczęście, podnoszę. I trzy tygodnie z tem chodzę i chcę oddać podług tego adresu i nikt ode mnie wziąć nie chce. Z Miodowej mnie pędzą na Wierzbową, z Wierzbowej na Mazowiecką, z Bielańskiej na Krakowskie... Ja już się zacząłem starać o ulgowy paszport zagraniczny,

żeby przynajmniej darmo nie chodzić... Proszę tu jest P P W N I. Oddaję. Ale ja się nabawiłem choroby serca i żądam, żeby mnie panowie puścili do Nauheim.

Szef (wyjmuje lupę, ogląda). Pieczęcie są. Całe. Nieuszkodzone. Hm. Co to wszystko znaczy?

Kierdziel. Nie wiem.

Szef (do Interessanta). He?

Interessant. Ja wiem? Znalazłem, to oddaję. Trzy tygodnie z tem chodzę — od Annusza do Kajfusza. Ja proszę o paszport ulgowy do Nauheim. W dzień chodzę, w nocy chodzę — już zupełnie zdrowie straciłem. Co robić? Nie wypada, żeby taki papier leżał na ulicy... Czy tam może jest co ważnego w środku?

Szef (krzyczy). Ja myślę. Traktat handlowy zaczepno-odporny z Betunją i Salwersynją.

Interessant. Z Betunją? Z Salwersynją? No, to nie jest ważne. To drobiazg.

Szef. Pan pozwoli, że ja będę innego zdania. Traktat, nad którym pracowaliśmy sześć miesięcy. Dwieście paragrafów z dopiskiem!

Interessant. To jest przedawnione, proszę pana. Pan nie czytał? *(Wyjmuje pismo żargonowe).* Te obie Betunje już od dwóch dni nie istnieją. One się zwały razem i połączyły do kupy — niech pan to sam przeczyta... *(Wtyka mu gazetę. Do Kierdziela).* Pan naczelnik jest bardzo ładnie ubrany. To nowy uniform urzędników państwowych?

Kierdziel. Nie, ja gram do kinematografu. Spóźniłem się na pociąg w Wilanowie i nie zdążyłem

się przebrać. — Zbawco! Pan wie, że pan mi życie ocalił? Musiałem chyba zgubić tę kopertę przed wyjazdem... Dziękuję panu. Co za szczęście, że to pan znalazł a nie kto inny!

Interesant. Proszę bardzo. Nic nie szkodzi. Znaleźć — to głupstwo, ale oddać! — Ja trzy tygodnie nie śpię, nie jem, tylko chodzę z tą kopertą. To tu — to tam. Dostałem astmy i trochę się odezwały kamienie żółciowe. Może mi państwo dadzą paszport zagraniczny, chociażby do Marienbaðu? Nazywam się Kandelaber...

Szef (sprawdza papiery). Djabli nadali. Wszystko w porządku. Trzeba odwołać wzmiankę w gazetach... Trudno. Jak pan się nazywa? Kandelaber? Pan chce mieć podziękowanie na piśmie? Z podpisem ministra?

Interesant. Nie. Jabym wolał jakiś mniejszy paszport zagraniczny ulgowy. Żeby nie trzeba było chodzić po to sześć tygodni, tylko trzy. Bo ja już nie mogę.

Szef. Niech pan się zgłosi jutro na Plac Teatralny — z podaniem.

Kierdziel. Później pan przyjdzie do mnie, na Wierzbową.

Halszka. Na Miodowej ja się panem zajmę, panie Kandelaber. Pan ocalił Dusia!

Szef. Jeżeli pan ma znajomości w Ratuszu i w pałacu Staszycy i przyniesie zaświadczenie z Izby skarbowej...

Kierdziel. ...i legitymację od rządcy domu, poświadczoną w komisarjacie...

Halszka. ...tudzież dokument z Wydziału drugiego przy ulicy Królewskiej... Zaprosimy pana na nasz ślub!

(*Kierdział.* ...oraz stempel z ulicy Przyokopowej, poświadczony przez Urząd mieszkaniowy na Lesznie...

Szef. ...i podpisze się pan przez markę, którą pan nabędzie na placu Napoleona...

Kierdział. ...albo w Wydziale opłat (Nalewki 2), to pan już za trzy miesiące może jechać, kochany, drogi panie.

Szef. ...o ile nie wybuchnie strajk kolejowy... Szkoda, że nie znam żargonu. Ale polegam na pańskich wiadomościach, panie Kandelaber. Do widzenia. Betunja i Salwersynja nie istnieją! To przecie szczęście, że pan tych papierów nie zawiózł do Paryża, złoty panie Kierdział. Bardzo sprytny krok dyplomatyczny! Posunięcie szachowe! Pan powinien dostać awans...

Kierdział. Przenoszę się do kina, panie radco. Gdzież jabym z tej głupiej pensji wyżył — ...I przytem nudno tu u nas, panie radco!

(*I znów Interesant*).

Interesant. Przepraszam bardzo—jeszcze raz się spytam. Jak to ma być z tym ulgowym paszportem?

Kierdział. Niechże pan nas nie nudził! Idzie pan poprostu do wydziału E_2 i E_7 .

Szef. Potem z C_7 na C_5 .

Kierdział. Następnie D_2 — D_4 .

Szef. G_3 — F_1 .

Interesant. Oni sobie mną pamięciową partję szachów grają! Czy ja jestem laufer?

Szef. Ale! Panie K.! Słoweczko! Jak już pan wykona pomyślnie te przebiegi, te drobne formalności przedwstępne — przyjdzie pan do mnie znów. Ja panu wszystko ułatwię. Gdyby zaś woźny nasz nie chciał pana wpuścić — pokaże mu pan, zamiast legitymacji, tę kopertę... Rozumie pan? Pieczęć urzędowa — to na nim zrobi wrażenie.

(Wręcza mu... dokument tajny).

Interesant. Boże ojców moich! Jeszcze raz ta koperta! Ja już stąd żywy nie wyjdę. Ale ja ją przekazę moim spadkobiercom!

(Kurtyna. Koniec).

EPILOG

Przypominam sobie wyraźnie tylko tyle, że tego dnia — o godzinie 5 po południu — poszliśmy w kilka osób na kawę czarną do Ichtjologa. Rzeczywiście — jeden z dawniejszych kolegów moich pracuje zagranicą w instytucie oceanograficznym i studjuje pamięć ryb głębinowych.

Przyjął nas bardzo serdecznie, opowiadał o ruchu naukowym w Europie. Ponieważ w chwilach wolnych zajmuje się archeologią i zna osobiście słynnego p. Cartera, udzielił nam też — tak mi się przynajmniej zdaje — kilku informacji o odkryciach ostatnich i wykopaliskach w słynnej Dolinie Królów, w Luksorze.

Jakim cudem rozmowa z tych szlaków górnych i wieczystych zeszła na drożyzną warszawską — nie pamiętam. Muszę posiadać pamięć słabszą, niż ryba głębinowa, bo nie wiem nawet, kto pierwszy ją wyrzekać na wiejskie czasy i kto wygłosił zdanie, że za lat pięćset ekspedycja archeologów amerykańskich szukać będzie w lotnym piachu antycznej Warszawy tak, jak dziś szuka Tebaidy, Herulanum, grobowca Tutenkhamena.

— Przyszły mister Carter i przyszły lord Carnarvon — rzekł wtedy Ichtjolog — mogą sobie długo badać i orać kilofem tereny w Konstancinie, Milanówku, Piasecznie, mogą grzebać w Dolinie Szwajcarskiej i przy ulicy Królewskiej — pomników kultury dzisiejszej nie odnajdą. Nasze księgi drukujemy, jak powszechnie wiadomo, w taniej bibliotece, na papierze drzewnym, nie wypalamy ich na cegielkach asyryjskich. Domy nasze — zbudowane z kruchej cegły, wapna, starych szmat, zbutwiałych podkładów kolejowych — są nieco mniej trwałe od piramidy Cheopsa. Dokumentów państwowych nie ryjemy rylcem na granicie, przekazujemy je pokoleniom przyszłym — piórkiem na papierze formatu kancelaryjnego. Malarze dzisiejsi nie uświetniają bazylik freskami. Coś tam paskudzą gryzącą, źle zmieszaną farbą chemiczną na kiepskiej tekturze. Nasze togi i makaty, wykonane metodą fabryczną, butwieją z dnia na dzień i cenne te brokaty można nabyć na Placu Kercelego za kilka groszy, nasze meble gięte rozłają się po trzech kwartałach i do prawdy, gdybyśmy dziś zbudowali tron królewski, to już za rok — po zapłaceniu ostatniej raty — niktby go nie odróżnił od starej tureckiej kanapy.

Cóż więc po nas ma pozostać właściwie? Co tu się oprze czasowi? Co ma przetrwać wieki i co przyszły lord Carnarvon ma wykopać na Placu Teatralnym?

.....

Wróciłem do domu zgębiony zupełnie. Kiedym się położył do łóżka — ścienny termometr, umiesz-

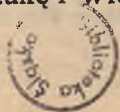
czony pod pachą, wskazywał trzydzieści osiem i pół stopnia powyżej zera.

O północy sumienie mnie ruszyło. Nie mogę spać gnuśnie, kiedy takie rzeczy się dzieją. Wstałem, ubrałem się i tramwajem nocnym pojechałem do Ichtjologa. Spał już i musiałem go długo szarpać za ramię, nim powrócił do normalnego stanu świadomości.

— Ichtjologu! — rzekłem — czy posiadacie w mieszkaniu mokrą glinę, piec do wypalania cegiełek i czy możecie w piśmie klinowem wyrazić to, co wam podyktuję? Sprawa jest pilna i ważna! Nie możemy przejść bez śladu, nie powinniśmy minąć, jak mija mszyca jednodniowa! Słuchajcie, com wymyślił.

W okrągłaku dawnej Panoramy budujemy, nic nikomu nie mówiąc, grobowiec Tutenkhamena. Faraona jeszcze nie mamy, ale możnaby tytułem próby zabalsamować którego z dyrektorów teatrów warszawskich. Zresztą czego, jak czego, ale kandydatów na starą mumję chyba nie zabraknie. Na cokół wyryjemy, metodą egipską ozdobny fryz z warszawskich ptaszków niebieskich, wykujemy wersety z artykułu wstępnego pana Kpinkowskiego i wyrzeźbimy — ku wiecznej rzeczy pamiętce — zagraiczny paszport ulgowy wielkości nadnaturalnej.

W przedsionku — na sklepieniu i podłodze — celniejsze ustępy z Maryny Mniszek wraz z „ponagleniami” Wydziału Stemplowego (Nalewki 2) świadczyć będą o naszej dzisiejszej kulturze literackiej, logistyka warszawska, astrologia i biografia Guzika reprezentować będą Naukę i Wiedzę Tajemną. Kilka



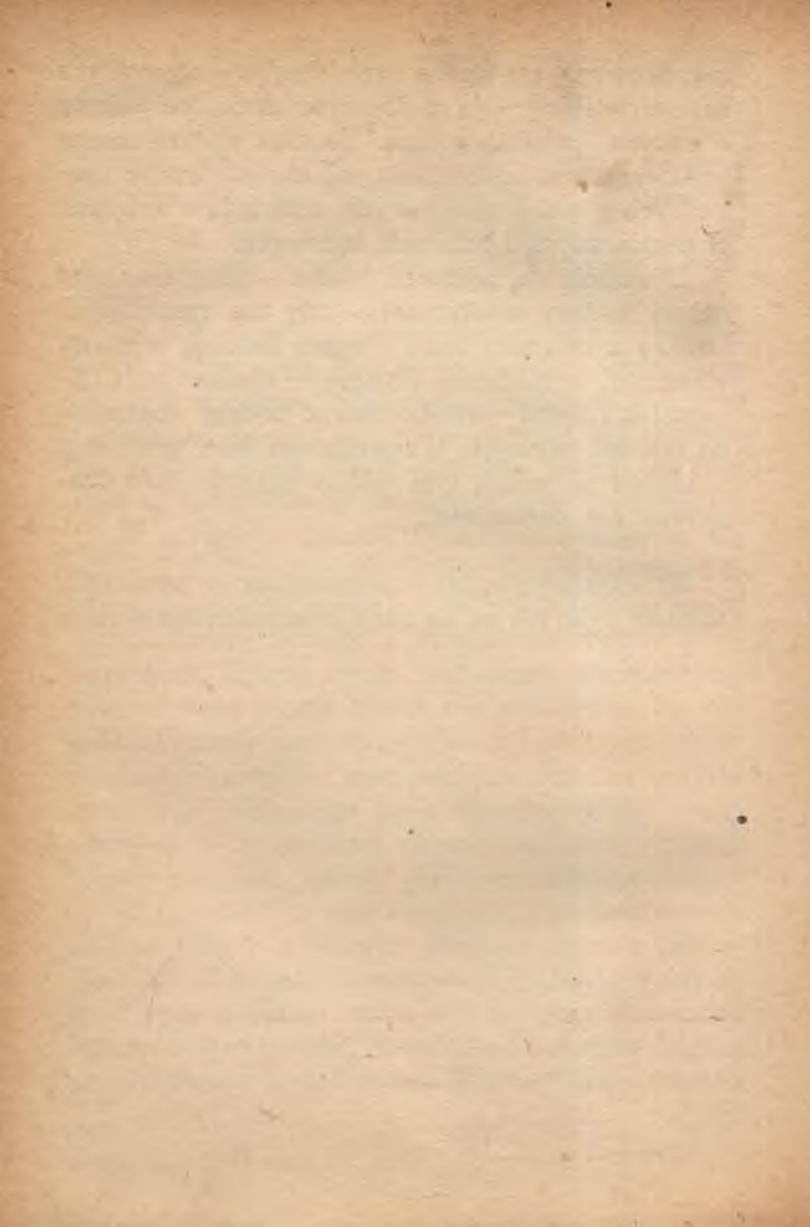
zagadkowych postaci w przedsionku — o profilach neandertalskich — da potomnym dokładne pojęcie o naszym prawodawstwie. Zamiast złotych monet wsuniemy tym dostojnikom pod ubranie trochę normalnych znaków obiegowych, mówię tu o wekslach protestowanych i pozwach sądowych.

U wejścia do podziemi stanie — jako monumet naszej kultury estetycznej — cały las rzeźbionych knotów z ostatniej doby i legnie katalog wystawy wiosennej w zachęcie. Muzykę — zamiast trąb, piszczałek i fletni — symbolizować będzie specjalnie na ten cel wynajęty z sąsiedniego kina gramofon.

Jeżeli na widok tylu cudów przyszedł lord Carnarvou nie zbaranieje...

.

Kiedym się obudził — spostrzegłem, że termometr ścienny pękł, jak mi się zdaje z nadmiernego gorąca.



SPIS RZECZY:

	str.
Od autora	3
Lepsze czasy, niżli teraz są...	5
Wędrowka narodów	9
Pongl	13
 PODRÓŻE.	
Tilly II	19
Jizdenka	35
Uśmiech Europy	39
Dwieście miligramów	44
 FAMA.	
Bajka	63
Sława	65
Jubileusz	69
Historja cywilizacji	74
Rozmowy zmarłych	77
Życiorysy: Krysztof Kolumb	80
„ Szekspir	82
 LITERATURA.	
Dochody bohatera powieściowego	87
Kryzys	92
Motywy	97
Plagjat	101
 GRY I ZABAWY	
Afera honorowa	107
Lawina	112
Głębszy dramat życiowy	116
Barwna sztuka historyczna	124
 WARSZAWA	
Duchy w mieście	133
High life	137
Abdera północy	141
Pietrzak	146
Warszawa w nocy	152
 BACZNOŚĆ SPRAWY NAJWYŻSZEJ WAGI	
Dokument tajny	159
Epilog	178

WYBÓR PISM JACKA LONDONA

W przekładzie Stanisławy Kuszelewskiej, Jerzego Bohdana
Rychlińskiego i Michała Gabrjela Karskiego.

Syn Słońca	4.20
Bóg Ojców Jego	4.20
Odszczepieniec	3.—
Na szlaku	4.—
Martin Eden, 2 tomy	9.—
Opowieści Mórz Południowych	4.20
Serce Kobiety	4.20
Prawo Białego Człowieka	3.—
Odyssea Północy	4.—
Wilk morski, 2 tomy	6.—
Zew Krwi	2.—
Przygoda	4.80
Przygody w zatoce St. Francisko	3.—

Następne tomy w przygotowaniu.

ANDRZEJ STRUG

Odznaka za wierną służbę	2.60
Pieniądz	5.20
Mogiła nieznanego żołnierza	5.20
Kronika Świeciechowska	4.—

E. WENDE i S-ka

WARSZAWA, KRAK.-PRZEDMIEŚCIE 7/9.

Krytyka o Londonie

Kurjer Poznański: Nazwisko autora zbyt znane jest w całym kulturalnym świecie, by o wartości dzieł jego osobno pisać trzeba było.

Gazeta Warszawska: Żałować należy, iż w Polsce tak mało mamy przekładów Jacka Londona, autora pełnego siły, odrębności i wyrazu.

Rzeczpospolita: Tłumaczymy i czytamy dzieła Londona, bo naprawdę zasługują na to.

Wiek Nowy: Na powojenną nudę i szarżyznę europejskiego życia awanturnicze przygody Londona działają jak napój podniecający. Uderzają wprost do głowy.

Kurjer Polski: Lektury takiej — lektury zdrowia i ludzkiej wiary we własne człowieczeństwo, społeczność nasza potrzebuje gwałtownie, jako słonecznego antidotum siły przeciw bajdom rozkładu i słabości, któremi tak długo żywi już nasza literatura młodych i starych.

Kurjer Warszawski: Z jakąż rozkoszą weźmie dzisiaj do ręki każdą jego książkę żołnierz czy marynarz polski, który w życiu czy na morzu zakosztował już niebezpieczeństw i poznał, że istotę życia stanowi nieustanne zmaganie się człowieka z przyrodą i człowieka z człowiekiem.

Polska Zbrojna: Zdaje mi się, że w twórczości polskiej tylko jeden Sieroszewski mógłby w części wytrzymać porównanie z Londonem...

Bibljotheka Groszowa Wendego

Pragnąc uprzystępić jak najliczniejszemu czytelnikom możliwość nabywania taniej i dobrej książki, postanowiliśmy, pomimo ciężkich warunków wydawniczych, wydawać „Bibljothekę Groszową Wendego“, której każdy tomik będzie kosztował zaledwie 95 groszy, a więc dostępny będzie niemal dla każdego.

„Bibljotheka Groszowa Wendego“ poza wartościami utworami piśmiennictwa polskiego autorów tej miary, co J. I. Kraszewski, A. Dygasiński i inni, obejmie szereg utworów literatury obcej, francuskiej i angielskiej na pierwszym miejscu. Ukazą się mianowicie, jako tomy „Bibljoteki Groszowej Wendego“, nieporównane i pełno głębokie artyzmu dzieła Josepha Conrada (Korzeniowskiego); pociągające egzotycznym tłem, bezpośredniością i barwnością utwory Jacka Londona; oryginalne i przeniknięte nawszkroś głęboką filozofją katolicyzmu dzieła G. K. Chestertona; arcydzieła subtelnej znawcy duszy ludzkiej Guy de Maupassant'a i t. d.

Pomimo niezmiernie niskiej ceny tomów „Bibljoteki Groszowej Wendego“, pragniemy, aby owa tania książka w niczem nie ustępowała wydawnictwom droższym; dlatego też każdy tom cechować będzie nie tylko staranny wybór ciekawej i wartościowej treści, ale również i wysoki poziom przekładu, wiernie oddającego w języku polskim walory artystyczne oryginału, oraz wielką dbałość o estetykę wyglądu zewnętrznego książek.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI E. WENDE i S-ka

WARSZAWA — KRAK. KRZEDM. 7/9

Cena zł.

<i>Caine Hall</i> — Kozioł ofiarny — powieść, str. 287.	3.90
<i>Chesterton G. K.</i> — Napoleon z Notting-Hill — powieść, str. 288	4.80
<i>Conrad J. (Korzeniowski)</i> — Fantazja Almayera — powieść, str. 212	5.—
— Murzyn z zalogi „Narcyza” — powieść, str. 214	5.50
— Sześć opowieści — nowele, str. 311	7.50
— Między lądem i morzem — nowele, str. 268	6.—
<i>Erenburg I.</i> Juljo Jurenito powieść, str. 397	6.—
<i>Farnol.</i> Na szerokiej drodze — powieść, str. 428	6.—
<i>Gobineau.</i> Polowanie na karybu — nowele, str. 179	2.—
<i>Grubiński Wacław</i> — Lwy i św. Grojosnaw — nowele, str. 177	4.20
<i>Iwaszkiewicz J.</i> — Hilary syn buchaltera — powieść str. 178	3.50
<i>Kaden-Bandrowski J.</i> — Przymierze serc — nowele, str. 243	4.—
<i>London J.</i> — Bóg Ojców Jego — nowele, str. 196	4.20
— Martin Eden — powieść, 2 tomy, str. 322 i 289	9.—
— Na szlaku — nowele, str. 236	4.20
— Odszczepieniec — nowele, str. 163	4.20
— Odyseja północy — nowele, str. 253	4.—
— Opowieści mórz południowych, str. 245	2.45
— Prawo białego człowieka — nowele, str. 152	3.—
— Serce kobiety — nowele, str. 251	4.20
— Syn słońca — nowele, str. 262	4.20
— Wilk morski — powieść, 2 tomy str. 270 i 244	6.50
— Zew krwi — powieść, str. 136	2.—
— Przygoda — powieść, str. 304	4.80
<i>Maupassant G. de</i> — Życie — powieść, str. 303	4.50
— Plotr i Jan — powieść, str. 186	3.—
<i>Samozwaniec M.</i> — Na ustach grzechu, str. 92	2.40
— Malowana żona, str. 110	3.—
<i>Strug A.</i> — Mogiła nieznanego żołnierza — powieść str. 411	5.20
— Odznaka za wierną służbę, str. 118	2.60
— Pleniądz — powieść, str. 459	5.20

List zwrotny

Do KSIĘGARNI E. WENDE i S-ka

w Warszawie

Krak.-Przedm. 9

Upraszam o łaskawe nadesłanie następują-
cych tomów

BIBLIOTEKI GROSZOWEJ WENDEGO

Nr

Należność w kwocie przesyłam
jednocześnie przekazem (P. K. O. 137)—proszę
pobrać za zaliczką *)

Imię i nazwisko

Adres

*) Wyrazy niepotrzebne proszę wykreślić.

Zamówienie księgarskie

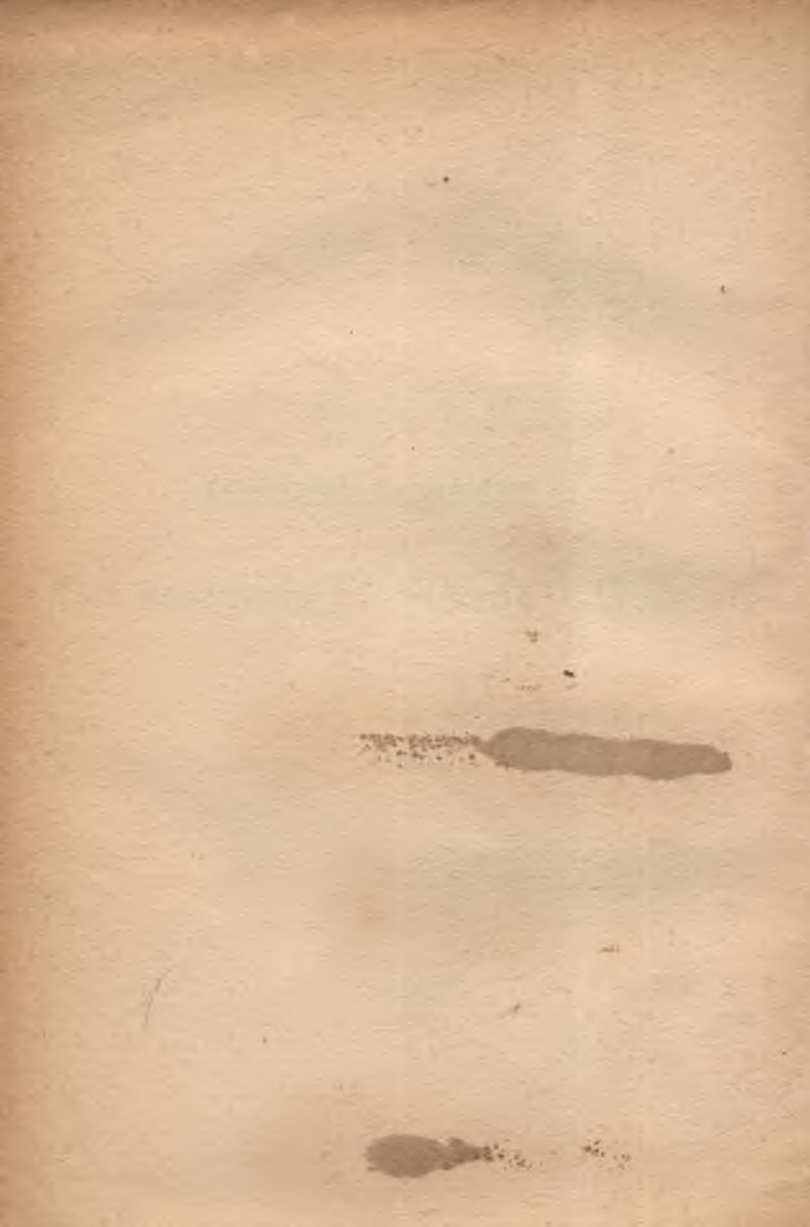
Do księgarni E. Wende i S-ka

w Warszawie,

Krak. Przedm. 9.











8 1/2
65 1/2

11.
13 0
65
78 0
2025

38
3000.0 480
2340
16600
8440

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000631925



I 7884